

Anna Sobolewska

Chwały pani Ani



wspomnienia

Redakcja: Janusz L. Sobolewski

Druk: "Drukarnia Kraków", 30-702 Kraków, ul. Romanowicza 4, 2013 rok

Na okładce - Anna Sobolewska podczas spotkania z młodzieżą w LO nr 2 w Lęborku w 2000 roku



Anna Sobolewska z domu Kompińska

Pisząc te wspomnienia, pamiętałam z wdzięcznością o wielu ludziach. Oto niektórzy z nich:

Michał Babij, Marek Biały, Janusz Cholewiński, Janina Cieślik, Piotr Czyszczak, Halina Felska, Stanisława Fludra, Jan Formela, Eugeniusz Głodowski, Piotr Gontarek, Marianna Ilnicka, Monika Janus, Janusz Kabza, Piotr Karczewski, Paweł Kasprzyk, Włodzimierz Klata, Kazimiera Kolańczyk, Janusz Kowalski, Janina Krupska, Bogdan Krzewniak, Ryszard Kurylczyk, Jolanta Maderska, Witold Namysłak, Izabela Jaruga - Nowacka, Franciszek Okuń, Stefania Patelczyk, Gerard i Mirosław Pawski, Andrzej Pohl, Iwona Ptasieńska, Alina i Anna Rościszewska, Krystyna Różańska, Lucyna Ruchwa, Barbara Rychlewska, Genowefa Seweryńska, Marek Stawski, Adam Stenka, Maciej Szreder, Wiktor Tyburski, Małgorzata Wenta, Ryszard Wenta, Irena Wieczorek, Cecylia Woźniakowska, Wiesław Wójcik, Alicja Zajączkowska

*Bez przerwy walcz i naprzód dąż,
I – nie patrz, co za tobą*
(Wiktor Gomułicki)

Wychowałam się w rodzinie, która zawsze pomagała innym. Pamiętam, był taki dom w Brodnicy przy ulicy 2 Lutego: zaniedbany, dla starców. Wszystko czarne i brudne. Mieszkali w nim chorzy, osamotnieni ludzie. Mama dawała mi dla nich paczki. Kiedy wyruszałam na łyżwy po południu albo rano do szkoły, wspinałam się po schodkach w tym domu. Bardzo się bałam. Ściany stare, obdrapane. Kładłam tę paczkę i uciekałam. Ci ludzie zatrzymywali mnie, chcieli rozmawiać... Wydaje mi się, że to po rodzicach przejęłam postawę społeczną.

Opiszę siebie: włosy długie aż do pleców, czarne, spięte w kok. Oczy ciemnobrązowe. Taką cera, szczególnie po plażowaniu na słońcu. Na palcach pierścionki. Na palcu wskazującym lewej dłoni jasnofioletowy ametyst, подарowany mi po maturze przez mego tatę. Na palcu środkowym platyna, początkowo z cyrkonią. Ten pierścionek przywiozłam z wycieczki działaczek Ligi Kobiet nad Morze Białe w 1988 roku. Sto rubli kosztował spod lady, oczko cyrkonii wypadło w hotelu w Archangielsku i jego miejsce zajęła potem kropla złota. Na palcu serdecznym noszę mocno zielony szmaragd. Kupiłam go za zasiłek pogrzebowy po śmierci taty. Na tym samym palcu mam też obrączkę po mamie. Obrączka po tacie przepadła, bo ukradła ją pewna sprzątaczką.

Na palcu serdecznym prawej dłoni - dwa ciemnoczerwone rubiny. Jeden to za pracę. Czterdzieści lat temu kupiłam go sobie za całą pensję nauczycielską w domu handlowym "Belweder" w Lęborku. Drugi rubinek to pierścionek po mamie.

Kiedyś, gdy założyłam jeszcze sukienkę w kwiaty, to wyglądałam kolorowo. Zdarzało się, że ludzie zaczepiali mnie, biorąc za... Cyganek.



Istna Cyganka w 2000 roku

Dzwoni do mnie dawna uczennica z Płońska: - Pani Sobolewska? - Kobięcina dorobiła się kwaciarni, dobrze się jej pewnie wiedzie. - A my panią wspominamy... Albo podchodzi na ulicy mężczyzna: - Pani profesor się w ogóle nie zmienia - mówi.

Wstępuję do sklepu medycznego, do pani Jadzi. Mąż kierowca, syn osiemnaście lat. Rozmawiamy jak matka z córką, o wszystkim. Robi mi kawę, herbatkę. Nie pyta, czy chcę, tylko robi.

Stałam się osobą rozpoznawalną w Lęborku. Chyba niemal instytucją. Na moich comiesięcznych spotkaniach "U pani Ani" sala pełna. Nawet ponad sto osób. I... "pani Ania" w TV, w prasie. Nazbierałam mnóstwo wycinków z "Dziennika Bałtyckiego" (dział "Nasze Miasto") o spotkaniach "U pani Ani". Wszystkie podobne: *"Anna Sobolewska zaprosiła na swoje comiesięczne spotkanie... Przyszło ponad siedemdziesięciu emerytów, rencistów, ludzi starszych i samotnych... To dla nich oderwanie od bolączek dnia codziennego... Sobolewska mówiła o zwyczajach świątecznych... Spotkanie uatrakcyjnił występ dziewięcioosobowego zespołu z Liceum Ogólnokształcącego nr 2 w Lęborku z programem poetycko - muzycznym "Młodzież - seniorom"... Darczyńcy dopisali... Pani Anna mogła poczęstować swoich bywalców ciastami, herbatą oraz obdarować wędlinami... Burmistrz miasta Lęborka Witold Namyślak przekazał skrzynkę jabłek. Obok burmistrza honorowymi gośćmi seniorów byli: starosta Witold Piórkowski i Zdzisław Korda, kierownik Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Lęborku. Do stołu podawały wolontariuszki z LO nr 2"...*

Co miesiąc wymyślam inną tematykę spotkań i część artystyczną: *"Działaczka społeczna Anna Sobolewska od lat organizuje comiesięczne spotkania dla seniorów, osób samotnych i niepełnosprawnych. We wtorek jej goście mieli okazję poznać ją z innej strony - jako turystkę. Sobolewska przygotowała referat o Chinach. - Chciałam podzielić się wrażeniami z mojej wycieczki po Chinach - informuje Sobolewska. - Myślę, że zaciekawiliam słuchaczy".*

Nie inaczej w telewizyjnym kablowym "Kanale 6", tylko oczywiście z obrazkami zastawionych stołów oraz naszymi wypowiedziami "na gorąco".



"Kanał 6" często gości na moich spotkaniach

Przy okazji moich okrągłych urodzin postanowiłam podzielić się wspomnieniami z przeżytych lat i napisać, co było kiedyś i co jest dziś - u pani Ani. Jakiś czas temu otrzymałam odznaczenie pod nazwą: "Niech chwała ma swoją nagrodę" (Medal *Sint Sua Praemia Laudi*) - wypada mi więc przedstawić tu swoje... chwały.

Siedziałam na progu i pilnowałam, czy esesmani nie nadjeżdżają

Urodziłam się w 1933 roku w Brodnicy, w domu państwa Garstków. Moi rodzice, Mirosława i Edward Kompińscy, pocztowcy, mieszkali u nich po ślubie. Garstka - rzemieślnik prowadził własny warsztat mechaniczny. Mama opowiadała, że Garstkowie traktowali nas jak rodzinę, czekali nawet z posiłkiem, nie siadając wcześniej do stołu.

Tata awansował wkrótce na zastępcę naczelnika poczty w Wąbrzeźnie. Do nowego, przydzielonego mieszkania kupcy przywozili meble, dywany, które rodzice musieli spłacać długo ratami.

Wybuchła wojna. Tatę zmobilizowano. A my wsiadłyśmy na wóz i pojechałyśmy na wieś do wujostwa Rzeszotarskich, do Podgórzka koło Brodnicy. Kompletnie wyposażone mieszkanie zostało na zawsze w Wąbrzeźnie. Pamiętam, że w gospodarstwie wujostwa pomagała służąca Wikcia i parobek Jan. Z dziećmi z sąsiedztwa grałam w skakankę, popychałam się na desce - hulajnodze, biegałam za piłką. Naokoło pachniała lipa, a jej kwiaty zaszusaliśmy na herbatę. W zimę Wikcia wylewała wodę na lodowisko i jeździliśmy na łyżwach. Bawiłam się elegancką lalką z masy, z długimi rzęsami, która - och - zamykała i otwierała oczy. Mama szyła dla niej sukienki. Wujek Bolesław i ciocia Bronisława posiadali dużo drzew owocowych. Wspinałam się więc po gałęziach, by zbierać czereśnie - "szklanki". Wyrwałam smakowite marchewki - karotki i ogórki.



To ja w 1939 roku

Nie poszłam do szkoły - uczyłam się w domu - bo ani my, ani przyjaciele rodziców: Banaszakowie, Orłowscy, Krajnikowie, nie wpisaliśmy się na jakąkolwiek niemiecką listę narodowościową. Czułam istnienie niezwykle mocnej więzi między rodzinami. Jednoczyliśmy się, kiedy wymagała tego potrzeba, pomagaliśmy sobie. Na moją mamę wszyscy mówili - ciocia. A moja babcia Kazimiera Rabczewska - mama mamy i starsza siostra cioci Bronisławy - mieszkająca u cioci w Podgórzu - zaprzyjaźniła się bardzo z babcią Orłowską. Obie pochodziły z Kresów, miały o czym opowiadać. Babcia Kazimiera - ziemianka - siedziała zawsze przed domem, na powietrzu. Była niewidoma. Wzrok straciła wskutek przeżyć: rewolucji 1917 roku w Rosji i pod zaborem rosyjskim, śmierci męża na Syberii, zesłanego w okolice Irkucka za działalność patriotyczną, opuszczenia dworku i majątku rodzinnego Łysa Góra w województwie Jampol. W tym dworku moja mama urodziła się i spędziła dzieciństwo. Wspomnienie mamy, zatytułowane "Młodości, podaj mi skrzydła", można odszukać w Internecie. Gdy ciocia Bronisława zaniemogła, to moja mama opiekowała się babcią Kazimierą aż do jej śmierci w 1970 roku.

Wiosną 1941 roku hitlerowcy umieścili wujostwo Rzeszotarskich w obozie przejściowym w Potulicach. Ich gospodarstwo przejąć mieli Niemcy z Besarabii. Odnalazł nas wtedy ukrywający się tata. Wpierw przebywaliśmy u jakiegoś gospodarza pod Brodnica, a potem zamieszkaliśmy z babcią Kazimierą w Siemcicach koło Żuromina, rodzinnej miejscowości taty, w dużym gospodarstwie państwa Krzywkowskich. Kilka kilometrów dalej, w biednej i zabitej deskami wsi, ulokował się tata i prowadził tam tajne nauczanie dla kilkudziesięciu dzieci. A ja, kiedy go odwiedzałam, siedziałam na progu i pilnowałam ponoć, czy esesmani nie nadjeżdżają. Za to nauczanie mama uzyskała świadczenia kombatantkie dla siebie (po mężu) po śmierci taty w 1969 roku, bo sam tata nie chciał ubiegać się o pieniądze.

Kopaliśmy w polu kartofle na zimę. Tak się starałam, że przodowałam na mojej redlinie, tylko że inni trudzili się na dwóch. Mama pracowała na gospodarstwie, hodowała kaczki, gęsi, dziergała na drutach swetry, skarpety. Miałam i ja w tym swój udział. Dostawałam woreczek i chodziłam z nim po masło, jajka, zostawiając w zamian te skarpety. Byłam ładnie ubierana i czesana jako dziewczynka: z kokardami we włosach, z wyhaftowanymi przez mamę sandałkami czy bluzeczkami. I taka wystrojona wstępowałam z woreczkiem do chłopów.

Kiedy mama jeździła do Potulic z paczkami, zabierała mnie ze sobą. Trzeba było iść pieszo i boso kilkanaście kilometrów. Szłyśmy obie z tymi paczkami aż do koleczastych drutów obozu. Nie żałowała mnie, miałam iść i już, nie było dyskusji.

Nie rozpieszczała jako jedynaczkę. Potem mama załatwiła - poprzez swoich znajomych w Brodnicy, co jest opisane w jej wspomnieniach - zwolnienie wujostwa z obozu, kierując w tej sprawie listy do samego Berlina.

Szczypałam

Front wojenny oddalił się, Niemcy uciekli. A ja sama wsiadłam w Siemcicach na jakiś wóz chłopski, który zawiózł mnie do znajomej mamy w Brodnicy, pani Kamińskiej. Jej ojciec prowadził przy Drwęcy na Kamionce sklep rymarski z uprzężami dla koni. Mama powiedziała tylko, że pani Kamińska pomoże i zaprowadzi mnie do szkoły na egzamin. W ten sposób w marcu 1945 roku zdałam egzamin do Miejskiego Gimnazjum i Liceum Żeńskiego przy ulicy Kamionki w Brodnicy. Wszyscy byli zdziwieni, że mi się udało. Potem dziwili się, że od września zasiadłam w drugiej klasie. A przecież mama uczyła mnie języka polskiego, czytała ze mną lektury, robiła dyktanda cały czas, pisaliśmy wypracowania, ponadto tata uczył mnie matematyki. Dyrektorem mojej szkoły był wtedy ksiądz Stanisław Tęgowski.

Osiedliśmy w Podgórzu. Tata chciał być nauczycielem, lecz za namową kolegów wybrał ostatecznie znów pocztę. Mama podjęła pracę też na poczcie, w Brodnicy.



Zasiadłam w drugiej klasie

Z Podgórza dojeżdżałam rowerem do szkoły. A potem, kiedy tata awansował na naczelnika poczty w Jabłonowie Pomorskim, to jeździłam pociągiem. W Jabłonowie, dwadzieścia trzy kilometry od Brodnicy koleją, zajęliśmy wielopokojowe, ponad stumetrowe mieszkanie służbowe w budynku poczty. Jeden z pokoi, z oknami nad peronami dworca PKP, był tak wielki, że nadawał się do zabaw z tatą w hula - hop i gier z piłką.

Gdy zdałam "małą maturę", tata czekał na mnie z różyczką przed szkołą i pogratulował przejścia do liceum.

Moją najbliższą koleżanką była Adela Górzyńska. Od pierwszej klasy do matury siedziałyśmy w jednej ławce. Dobra dziewczyna, ale niezbyt szybka... Była drużynową w harcerstwie, a ja jej zastępczynią z granatowym sznurem. Stawiałyśmy się na zbiórki na Rynku w Brodnicy, a o osiemnastej na mszy świętej w kościele farnym, ćwiczyłyśmy musztry, gry i śpiewałyśmy piosenki harcerskie przy ognisku w lesie. Jej rodzice posiadali gospodarstwo w Szczuce. Brat wadził się z komuną, tak że nawet go posadzili. Przeniósł się do Sopotu. A Adela, kiedy ja już wyszłam za męża, odwiedzała moich rodziców i pytała jeszcze, co z tą Hanką, jak jej się to życie układa. Skończyła historię na KUL-u. Wyszła za męża za jakiegoś profesora

akademickiego, dużo starszego od siebie. Kiedyś przyjechała na zjazd koleżeński. Weszła do kościoła w Brodnicy, w którym akurat siedziałyśmy, i krzyknęła: - A Hanka? Gdzie ta Hanka? - Wszyscy obejrżeli się ze śmiechem. Zbliżyła się do mnie i nie zważając na mszę, powiedziała donośnie: - Mnie do dziś bolą półdupki, tak ty mnie wyszczypałaś! - Faktycznie, ja ją szczypałam. Bo ona była wolna w szkole, nie nadażała podpowiadać. Nim coś podpowiedziała, to nauczycielka kazała mi siadać. Na ten zjazd przyjechała w kapelusiku, z córką lekarką. Parę lat potem, biedna, dostała wylewu i zmarła.

Drugą moją koleżanką była Maria Radziszewska. Jej rodzice posiadali majątek pod Brodnicą. I ona - też - przyjeżdżała do Jabłonowa, do mnie i moich rodziców. Generalnie wszystkie koleżanki przyjeżdżały do mnie, bo ja do nich nie jeździłam. Nigdzie nie jeździłam, nie chodziłam, nie lubiłam odwiedzać czyichś domów.

W Jabłonowie miałam koleżankę Bożenkę Odwrotną. Mówiąc ogólnie, nauka nie była jej powołaniem. Mieszkała u góry, obok poczty. Rodzice uchodzili za bogatych, prowadzili restaurację, a na dworcu sprzedawali lody z wózków. Gdy szliśmy w niedzielę do kościoła, to my skromnie, w płaszczykach, a u nich lisy, plusze. Mimo to ksiądz sadzał nas zawsze w pierwszych ławkach, szanując urząd taty. Bożenka była taka dobrze wychowana, bo to się wtedy tylko z rodzicami chodziło... Ja też chodziłam tylko z rodzicami. Wyszła za męża, teściowie Laubowie mieszkali koło zabytkowego jabłonowskiego Zamku, zasiedlonego przez siostry pasterki. Potem ona i jej mąż wyprowadzili się do Inowrocławia.

Z klasy pamiętam też koleżankę Teresę Starogardzką. Nie raz mi pomagała jako dobra matematyczka. Kiedy kończyły się lekcje, nie jechałam do Jabłonowa zaraz, lecz pilnowałam, by mi coś podpowiedziała.

Bałam się matematyki, profesorki Zabornej, bardzo ostrej. Ona wchodziła i wychodziła, nie można było z nią porozmawiać. Dyscyplinę trzymała też historyczka Zaboklicka. Francuskiego uczyła jej siostra. Rodzice pytali, w czym mogą mi pomóc. Mama czytała za mnie lektury i opowiadała mi je potem, bo nie nadażałam ze wszystkimi. Pamiętam, jak wkładała mi do głowy wojny punickie między Rzymem a Kartagimą, a ja poszłam do szkoły i nie umiałam. Zezłościła się mocno. *Summa summarum* - uczyłam się. Nigdzie nie latałam, nawet na zabawy nie chciałam chodzić. Biegałam tylko po lekcjach na lodowisko w Brodnicy, bo bardzo lubiłam jeździć na łyżwach.

Gdy przyjeżdżała Adela, chodziłyśmy na spacer. Ułożone i grzeczne. Żadnych chłopaków! Kiedyś rodzice wzięli mnie - jeden jedyny raz - na wieczorek z potańcówką. To nie chciałam tańczyć. Kto mnie poprosił - to nie. Bo upatrzyłam sobie takiego Hipka, chyba Hipolita. Kiedy Hipek poprosił, to tańczyłam z nim, z innymi nie. On się potem ożenił z jakąś artystką, ale się z nią rozstał.

Co jakiś czas rodzice szli więc na wieczorek, a ja spać. Którejś nocy nie mogli dostać się do domu, ponieważ pozamykałam drzwi i zasnęłam. W tym wielkim pocztowym mieszkaniu do ostatniego pokoju nie dochodziły odgłosy walenia w drzwi. Rodzice musieli wziąć skądś drabinę i wejść na pierwsze piętro przez balkon. Bo ja spałam. Potem pół Jabłonowa plotkowało o tym wydarzeniu.

Byłam zawsze dumna. Moja duma wynikała z faktu, że się uczyłam. Dziewczyny, te zerkające na chłopaków, nie odpowiadały mi. Chłopcy przepychali się, by siedzieć ze mną w pociągu. To przez tę moją dumę pewien syn zegarmistrza w Brodnicy zrobił mi przykrość. Siedziałam na ławce, a on chlust!, z góry - wylał mi na głowę wiadro wody. Do Jabłonowa dojechałam mokra. On chodził ponoć za mną,

a ja miałam grube warkocze, duże czarne oczy, no i podobałam się chłopakom. Tylko się wstydziłam.

Był taki Stachowiak w Jabłonowie, z biednej rodziny. Krążył w przedziale koło mnie, szukał sposobności, by usiąść. Blondynek taki. Kiedy akurat spacerował przed pocztą, moja mama informowała o tym. Bał się zapukać. Został księdzem. Po latach przyjechałam do Jabłonowa z maleńkim synkiem, a on szedł w sutannie po drugiej stronie ulicy. Jezu, jak się wstydziłam, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić.

Byłam księżniczką

W mieszkaniu na poczcie zajmowałam sama swój pokój, taki z wejściem z korytarza. Byłam księżniczką. Nie zgłaszałam jakiś zachcianek. Nie brałam udziału w dyskusjach dorosłych. W ogóle się nie odzywałam.

Zbuntowałam się po raz pierwszy w liceum, gdy rodzice kupili mi modną wówczas żorzetę: czerwoną, w białe kropeczki. Krawcowa uszyła sukienkę z falbaneczkami. Ale żorzeta prześwitywała i bez halki ani rusz. W sklepach nie było halek, więc kupili materiał i tę halkę uszyli. Mama ufarbowała ją na czerwono. Gdy wszystko przymierzyłam i zobaczyłam, jak wyglądam, zaperzyłam się, za żadne skarby nie chciałam włożyć sukienki. Miała być na niedziele... Zrobiono mi w niej zdjęcie, więc musiałam ulec perswazji choć raz. A przecież miałam piękne sukieneczki amerykańskie: taftowe, w pasy, czerwone, jedną niebieską. Przychodziły w paczkach z Wisconsin od rodziny wujostwa Rzeszotarskich.

Wystrzeliła moda na ondulacje. Uległy jej wszystkie koleżanki. Bez pozwolenia poszłam więc do fryzjera w Jabłonowie i oddałam na peruki długie, piękne, czarne warkocze. Za darmo - w mojej rodzinie nie istniał duch materializmu, postawa jakiejś pogoni za pieniądzem. A moje włosy są przecież grube, dużo ich, zrobiła się po ondulacji t a k a głowa. Gdy mnie zobaczyła mama, zaczęła lać i kuksać. Wzięła grzebień, zaczęła szarpać. Coś straszego.

Tata siedział na poczcie prawie cały dzień. Uczciwy, pracowity. Jak on przeżywał, kiedy listonosze wykręcali żarówki z piwnicy. Mama uspokajała: - Nie mów nic, nie krzycz na nich, oni mało zarabiają, mają rodziny. - Mama stwarzała atmosferę koleżeństwa na poczcie i pocztowcy skarżyli się jej - telefonistce, kiedy mąż - naczelnik ich beszał.

Mamę lubiano za jej optymizm i otwartość na problemy ludzi. Była do tego stopnia rozmowna, że bez przerwy coś mówiła. Od rana do wieczora. Do końca życia. Tata i ja milczeliśmy, a mama opowiadała... Szliśmy do kościoła, to mama zostawała po drodze ze znajomymi i rozmawiała. Czekaliśmy na nią. Tata: - Nic nie mów, nic nie mów - zawsze łagodził, bo mi się te rozmowy nie podobały. A teraz jestemomalże taka sama jak mama.

Rodzice nie sprzecali się przy mnie. Kiedy już przedyskutowali wszystko, decyzje podejmowali razem. Takich ich zapamiętałam. Zgodnych. Ojciec - raczej ustępliwy. Gdy robił zakupy na targu, to kupował dla mamy jeszcze kwiatki. A mama, ileż ona miała obowiązków. Praca, dom, opieka nad babcią Kazimierą. Pedantka. Ileż się tych pokoi nasprzątała. Wstawiała o piątej i sprzątała. Tak chciała i tak robiła. I opowiadała: o Podolu, o gospodarstwie wujostwa w Podgórzu, o rodzinie, o znajomych w Brodnicy...

Tatę zaczęto wybierać na radnego w Jabłonowie. Ceniono go. W mieście szacunek przynależał zresztą z urzędu lekarzowi, aptekarzowi, sędziemu, weterynarzowi, proboszczowi i tacie - naczelnikowi poczty. Całej elicie. Te nasze

rodziny przyjaźniły się, urządziły wspólne przyjęcia, szczególnie u doktorostwa Jagasów, a proboszcz Panek miał zwyczaj kończyć bożonarodzeniową kolędę na poczcie, u rodziców. Zasiadaliśmy wtedy wszyscy w ogromnym pokoju, przy zastawionym przez mamę rozsuwanym stole na szesnaście osób, przy własnych nalewkach..., nigdzie się nie śpiesząc.

Tata jako radny mocno pomagał ludziom. Powiadano o nim, Edwardzie: "Edzio - społecznik". Wstępowano do naszego domu w naprawdę ważnych niekiedy sprawach - różnych powikłań powojennych, pracy, mieszkania. Sama widziałam, jak przybiegała na pocztę córka jakiegoś barona, po mężu Kołłątaj, prosząc o pomoc. Rodzina Kołłątajów mieszkała w dworku, za Zamkiem sióstr pasterek. Nie umiała poradzić sobie życiowo w tamtych latach. A my co jakiś czas zachodziliśmy do nich w niedziele, na spacerach przy pogodzie. - Idziemy do baronów - mówiliśmy. Jako jedyni w Jabłonowie posiadali oni fortepian, więc ćwiczyłam w ich salonie. Uczyłam się grać na pianinie w Brodnicy za sto złotych od godzinnej lekcji, a u Kołłątajów miałam za darmo. Ich córka chorowała psychicznie i pilnowała mnie, bym przy grze nie popsuła klawiszy czy pedałów. Język francuski, gra na fortepianie - takie wychowanie panienek preferowano.

Wygrała biologia

Rodzice interesowali się mną mocno. Utrzymywali ścisły kontakt z nauczycielami, z dyrektorem ks. Tęgowskim. Wyróżniali się na tym tle, bo inni rodzice, z którymi moi się przyjaźnili, nie uważali tego za konieczne. Ich dzieci uczyły się słabo. Jasiu Orłowski wybijał szyby w szkole, w końcu został z niej wyrzucony jako kułak. Banaszakowie - a Banaszak wysoki jak Apollo, dyrektor banku, więc figura po wojnie - dawali mi ciągle za przykład swojej Zosi: - I czemu ta Zosia nie uczy się jak Haneczka? - Przechodziłam z klasy do klasy. Rodzice byli tacy dumni ze mnie. Zosia pisze do mnie do dziś kartki z życzeniami świątecznymi.

Tata troszczył się, czekał z obiadem. Wychodził na peron, odprowadzał. Przed maturą wynajął mi i mojej koleżance Adeli pokój w Brodnicy na Kamionce, u pana sędziego, byśmy nie traciły czasu na dojeżdżanie i uczyły się. W pokoju miska i woda z kranu. Jadłyśmy to, co rodzice przywieźli. I uczyłyśmy się.

Matura 1950. Trzeba było mieć osiemnaście lat, aby przystąpić do egzaminu. Nie skończyłam jeszcze siedemnastu. Rodzice napisali prośbę do kuratorium w tej sprawie, tata jeździł, starał się i pozwolenie na egzamin maturalny otrzymałam. Zdawało się ze wszystkich przedmiotów, nie tak jak teraz, z wybranych.



Zdjęcie maturalne: w ostatnim rzędzie - pierwsza z prawej Adela Górzyńska, trzecia Maria Radziszewska, w drugim rzędzie w środku - Teresa Starogardzka; ja siedzę pierwsza z prawej

Lubił mnie chemik Bojarski. Chciał, bym poszła na chemię. Biolog Malicki zasugerował, bym studiowała biologię. A ja o studiach nie myślałam w ogóle, rodzicom nie przelewało się przeciw. Planowałam iść do pracy, koniecznie do banku. Bo ten bank widziałam czyściutki, z miłymi paniami. Rodzice nie pozwoli jednak na to. Pojechałam więc do Torunia, na ślepo w sumie, by zdawać na biologię. Czemu? Nie wiem. Nauczycielska rodzina Malickich posiadała renomę w Brodnicy i zwyciężyła ich perswazja.

W Toruniu - duża aula, ponad setka młodzieży. Egzamin pisemny. Nie wiedziałam, jak poszło. Na drugi dzień po egzaminie członkowie komórki ZMP na poczcie, mocno zainteresowani mną - córką naczelnika, przybiegli do taty z wiadomością, że mnie przyjęto.

Zacząłam studiować na Wydziale Matematyczno - Przyrodniczym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Z tej setki młodzieży na początku dotarło nas do końca z trzydzieścioro, a może i mniej. Dziewczyny malowały się, chodziły gdzieś. Ja się uczyłam. W trzy lata robiliśmy cztery lata, niestety, bez magisterium. Trafiłam na fatalny rok akademicki, w którym zorganizowano studia jedynie pierwszego stopnia. Śpieszono się z kształceniem młodzieży, ponieważ brakowało kadr do pracy. Skrzywdzono nas, a rok później zrobiono studia czteroletnie już z magisterium. Stary wydział podzielił się na Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii oraz na Wydział Biologii i Nauk o Ziemi.

Tylko przez pierwszy rok mieszkałam w akademiku, w czteroosobowym pokoju, z koleżankami z wydziału sztuk pięknych. Na drugim roku nie przyznano mi go, bo oboje rodzice pracowali. Tata załatwił mi pokój w Toruniu, na Grudziądzkiej, przechodni, i musiałam przez duży pokój, w którym papuga gadała, przechodzić do siebie. W moim pokoju stała szafa i coś do spania, nic innego nie mieściło się.

Tata dosyłał mi paczki przez listonoszy. - Kto pojedzie? - pytał ich. A oni wszyscy chcieli jechać "do panienki". Pukali, zostawiali te paczuszki z ciastem, kiełbasą i wracali. Kiedy przyjeżdżałam do domu, to mama nie mogła się nagadać. Wszystko chciała mi opowiedzieć. No i leżeliśmy w sypialni w trójkę, zasypialiśmy już z tatą, a mama jeszcze mówiła.

Na studiach miałam koleżankę Hankę (ja byłam Anką), oplatającą głowę

warkoczami. Radziłyśmy sobie z nią najlepiej na lektoracie francuskiego jako zaawansowane we francuskim po liceum. Inni nic nie umieli. Wykładowczyni Tronowska sadzała nas do pierwszej ławki i uczyłyśmy pozostałych w tyle. Co innego z rosyjskim, ledwo dawałam tu rady.

No i zaczął interesować się mną Leopold Sobolewski z drugiego roku, wiele starszy ode mnie, pochodzący spod Białegostoku. Dojrzały, spokojny, mnie się to spodobało. Wypatrzył mnie, kiedy jego rok o kierunku botanicznym i mój o kierunku zoologicznym Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi połączono w jeden na zajęciach z logiki. Inni konkurenci, choćby taki Andrzej, co potem profesorem został, latał za mną głupio. Gdzie ja usiadłam, to on przy mnie. - Anka, ja się z tobą ożenię - krzyczał. Taki towarzyski. Wielu chłopaków zachowywało się w ten sposób, chodzili za mną, rzucali teczki w miejsca, gdzie siadałam.

Lektoraty o siódmej rano. Od ósmej aż do czternastej wykłady w różnych częściach miasta. Trzeba było uczyć się i latać z miejsca na miejsce, nie tak jak dziś, że uczelnia funkcjonuje w zwartym kompleksie. Ćwiczenia laboratoryjne trwały od piętnastej do dwudziestej pierwszej nawet. Na fizjologii zwierząt asystenci przynosili w wanienkach rozczłonkowane żaby. Kazali ich elementy anatomiczne wypatroszyć, wyselekcjonować, potem opisać je po łacinie i po polsku. Na chemii przeprowadzaliśmy reakcje chemiczne, które często nie wychodziły i należało wszystko powtarzać od początku.



Rzucali teczki w miejsca, gdzie siadałam. Toruń, 1952 rok

Poldek Sobolewski kolegował się z mądrym, uczącym się Krzysiem Rostańskim, który potem został profesorem na uczelni, zdobywając stopnie naukowe przy badaniu wiesiołka, takiego zioła. Oni trzymali się razem. Zdolni, pracowici. Dołączałam do nich. Kiedy uczyli się, to ja z nimi. Dzięki nim zdawałam egzaminy w zerówce z botaniki ogólnej czy systematycznej. Podobało mi się to wszystko w Poldku, choć on nie za bardzo chciał mi pomagać... Miał zdolności plastyczne, malował obrazki, co wzbudzało podziw u wielu osób.

Poldek na zajęciach logiki siedział początkowo z pewną dziewczyną. Ja na dole, a on z góry auli mnie obserwował. Mieszkał w domu tej dziewczyny. Studiowała na tym samym roku, co on, razem chodzili na zajęcia. Pasowali do siebie wzrostem, charakterem. Jej rodzice szykowali go na zięcia. Dbali o niego. Takie głupstwo zrobił ze mną, bo byłoby mu z nią dobrze.

Zapytał mnie, czy ma się wyprowadzić od tej rodziny. Odpowiedziałam mu, że mi wszystko jedno. Dosłownie. I dla mnie wyprowadził się do akademika na Mostową. W fatalne warunki. W paskudztwo. Łóżka żelazne jak w więzieniu. To

żeński akademik na Mickiewicza z zimną wodą oferował lepszą jakość życia.

Patrzyła na niego też dziewczyna z jego roku, z rodziny artystów malarzy. Miał powodzenie.

Uparta

Chodził i chodził za mną, robił nastrojowe zdjęcia, aż w końcu zawiozłam go do domu. Tata powiedział, że jestem za młoda. Żeby on sobie głowy nie zawracał. Że on taki, a taki, tyle starszy, o dwanaście lat. I wyrzucił go. Powiedział, że ma iść i więcej nie przychodzić. A bieda to panowała powojenna, Poldek przyjechał w lichej marynareczce. Nie byłam taka biedna.

No to "do widzenia" i wrócił na peron. Ubrałam się szybko, wybiegłam i przyprowadziłam go z powrotem. Uparta, pokazałam rodzicom, że tak nie wolno, że też mam coś do powiedzenia. Tata zamknął się ze mną w pokoju. Coś tłumaczył, jakieś kułaki oberwałam od niego pierwszy raz w życiu, ale nie pamiętam tego za dobrze. Zabrałam się z Poldkiem i wróciliśmy do Torunia razem.

Spotykaliśmy się dalej. Mama wiedziała o tym, tata to nie wiem, pewnie się domyślał. Poldek skończył studia, dostał pracę w Instytucie Uprawy i Nawożenia Gleby w Toruniu. Ustaliliśmy, że weźmiemy ślub. W Częstochowie. W tym czasie odbywałam jeszcze praktykę studencką.

Zadzwoiłam do mamy. Że biorę ślub i że niczego od nich mi nie potrzeba. Czemu właśnie w Częstochowie? Chyba to ja zaproponowałam Jasną Górę, bo Poldek nie miał takich pomysłów. Rodzice nie chcieli ślubu, więc wymyśliłam, że pojedziemy daleko, oryginalnie. W Toruniu, koło poczty i kościoła akademickiego, przed kościołem pw. NMP, takim ciemnym przy wejściu, zawisły nasze zapowiedzi.

Potrzebowałam dokumentów. Poldek pojechał do Jabłonowa, do proboszcza Panka. Ksiądz proboszcz pokazał mu drzwi. Nie poddałam się. I tata pod wpływem mamy - bo mama łagodziła, sugerując, że może jestem w ciąży? - wysłał listonoszy po te dokumenty. A proboszcz nie, nie dał, listonoszy odprawił. No to tata musiał iść sam w końcu. Ksiądz powiedział mu wtedy: - Panie naczelniku, jedna córka. Ja tu chciałbym ślub jej dawać należyty. A tu ze świata chłopak... Nieznany.

Ponieważ niczego nie chciałam, mama poszła do krawca i zamówiła kostium "na siebie". Nawet nie przyszło mi do głowy udać się po ten kostium. Listonosz przyniósł go w paczce. Okazał się dobry, więc wzięłam. Jakie to było głupie... I wybrałam się do Częstochowy w popielatym kostiumie, w popielatych butach, bluzeczce z kokardami, z jakimś kwiatkiem.

Koledzy Poldka i moje koleżanki ze studiów rozniosły wieść o ślubie po uczelni. Portier w recepcji nachylił się ku mnie konfidencjonalnie: - Czy pani bierze ślub na Jasnej Górze? - Jak on się tym zainteresował, bo to faktycznie wyglądało oryginalnie.

Tramwaje nie jeździły, więc trzeba było iść pieszo. Przez Plac Rapackiego, przez most i do dworca głównego w Toruniu. Obejrzeliśmy się, a tu koledzy i koleżanki za nami. Wszyscy oni z uśmiechem, zgraną grupą, odprowadzili nas pięknie na dworzec.

To chyba Poldek zauważył, że na peronie, na ławeczce, siedział mój tata. Zimny, daleki. Nawet nie pamiętam, czy się przywitaliśmy. Wsiadł i pojechał jako ojciec. W drodze nie nawiązywaliśmy żadnego kontaktu czy porozumienia. W Częstochowie Poldek i tata - bez uzgodnienia - obaj osobno polecili po kwiaty.

Tata nie wiedział, nikt z nas nie wiedział, że taty kolega Grzeszewski, jeśli

nie zniekształcałam nazwiska, dyrektor banku, jeśli dobrze pamiętam, też przyjechał pociągiem z nami na ślub. Ten kolega taty: nieduży jak tata, przy tuszy, posiadał wspaniały głos i pięknie śpiewał. Przychodził nieraz do rodziców z tęgą również żoną i śpiewał w dużym pokoju.

W klasztorze na Jasnej Górze paulini otoczyli nas serdeczną opieką, potraktowali jak bracia studencką - coś fajnego dla nich i dla nas. Dostaliśmy pokój, żelazko, mogliśmy się umyć, uczesać. Mną zajęły się siostry zakonne, które biegały, oferowały we wszystkim pomoc. Poldek nie miał dokumentu, że jest kawalerem. To jakieś oświadczenie napisał, że nadeśle świadectwo stanu wolnego z Białegostoku. A nasi świadkowie na ślubie? Nie pamiętam, chyba tata był świadkiem...

No i dzwonki. Ślub. Ludzie przygodni modlili się jak to na mszy. Klęczeliśmy nie przed głównym ołtarzem, tylko przed ołtarzem obok, z osobnym wejściem. Zagrały organy. Wtedy ten dyrektor banku zaczął u góry śpiewać... Boże. Nie widzieliśmy go z dołu. Tata zmiękł. Nastój ślubu rozczulił go. Po ceremonii zamówił u sióstr obiad weselny.

Wracaliśmy już razem. Tata dziękował koledze za śpiew. Łzy w oczach i wszystko OK. A mnie tam to było obojętne, ja nie pamiętam dokładnie, jak to się wszystko odbyło. Wiem, że wychodząc za mąż, narobiłam rodzicom największego kłopotu w życiu. Pozostał pamiątkowy obrazek w złotych ramkach z Matką Boską Częstochowską z wpisem: "*W. Państwu Leopoldowi i Annie Sobolewskim na pamiątkę Ich Sakramentu Małżeństwa zawartego u stóp Jasnogórskiej Pani ofiarują O.O. Paulini. Pobłogosławił: O. Teofil Krauze. Jasna Góra, dnia 26.VII.1952 r.*". Akurat w dniu moich imienin.



Zdjęcie ślubne

Przyjechaliśmy do Jabłonowa. Mama czekała. Stół w dużym pokoju zaścieliła pięknym obrusem i zastawiła go smakołykami. Przybyło wujostwo z Podgórza z niewidomą babcią Kazimierą. Nie przypominam sobie, kto jeszcze.

I zaraz, tego samego dnia, pojechaliśmy dalej. Bo tata wynajął nam pokój w Toruniu na św. Jakuba, naprzeciw kościoła, u jakiegoś mecenasa. Mecenas mieszkał z żoną w tym domu - bardzo kulturalna rodzina, spokojna, miła. Ciocia z Podgórza podarowała nam amerykański dywan, wełniany, obustronny. Zawiesiliśmy go na ścianie, nad tapczanem zgodnie z modą.



Moi rodzice w tym czasie

Generalnie rodzice uważali mnie za zbyt młodą na małżeństwo. Zamartwiali się, że nic nie będę miała z tego życia. Że Poldek taki chudy, biedny, mały, tyle lat starszy, że z dużym doświadczeniem życiowym. Przeżył wprawdzie okupację, pod koniec wojny i po wojnie służył w wojsku jako saper na zapleczu frontów. Ja w ogóle nie pytałam Poldka o nic, a on nie opowiadał. Mnie to nie obchodziło, co robił albo czy miał dziewczyny. Poldek był moim pierwszym chłopakiem i widocznie chciałam się nim zaopiekować.

Chorował po wojnie, cierpiał. Kiedy kurował się w sanatorium w Żegiestowie albo gdy go zabierali na ćwiczenia wojskowe jako oficera rezerwy, pisał listy. Nie zawierały one nic intymnego; ilustrował je obrazkami, malował jakieś widoczki. - Tajemniczy taki - mama go określiła. Niby raz grzeczny, raz obrażony. O swojej rodzinie nic nie pisał, nie mówił.

Czemu nie posłuchałam rodziców? Nie znałam życia i rodzice wiedzieli o tym. Dziś przyznałabym im rację. Z mojej strony to była miłość ślepa..., a nasze charaktery niedobre, co musiało zakończyć się rozstaniem.

Po ślubie pojechałam do rodziców Poldka, do Starosielc, dziś części Białegostoku. Jego rodzina szczyliła się nim, że wykształcił się i że ożenił się z taką panienką jak ja. Miała zaszczyt mnie gościć. Ojciec Poldka chodził w mundurze kolejarza, bo pracował na PKP, matka zajmowała się domem. Serdeczni i prości, bez szkół. Byłam skromna, wstydliva, skrępowana podczas pierwszej wizyty. Zajmowali połowę kolejarzkiego domku. Na podwórzu jak na wsi: drób, chlew ze świnkami, wygódka, klatki z królikami, grządki z warzywami. I tam, do tego domu, matka Poldka, też Anna jak ja, poprosiła urzędnika USC. Ten zapisał, wyrecytował co trzeba i wręczył nam świadectwo ślubu cywilnego.

Pamiętam atmosferę rodzinną, czystość w pokojach, poduszki w kwiaty. Matka Poldka piekła wspaniałe ciasta, smażyła pyszne naleśniki i jajecznicę. Halina, siostra Poldka, pozostała mi we wspomnieniach jako osoba miła i szczerą. Ile razy tam przyjeżdżałam, zawsze tak było. Kiedyś podeszłam w kuchni do matki Poldka, która piekła akurat makowiec. Zapytałam, jak to się robi, a ona nic. Do dziś nie umiem upiec makowca. Ale radzę sobie z drożdżówkami, pączkami czy chruścikami.

W Toruniu odebrałam dyplom ukończenia studiów dopiero w sierpniu 1953 roku. Egzaminów wszystkie pozaliczałam, tylko pozostał mi jeden - z języka rosyjskiego. Zdawałam go na końcu. Rusycystka, kulawa baba, wyznaczyła sprawdzian u siebie w domu. Musiałam wykuwać zoologiczne nazwy po rosyjsku, bo egzamin polegał na przetłumaczeniu książeczki specjalistycznej dla kierunku zoologii. Bałam się, nie znałam słówek. Powiedziałam do Poldka: - Chodź ze mną, ona cię tak lubi, podpowiesz jakieś słówko. - Poldek znał rosyjski, miał u niej piątki. Kiedy weszliśmy, ona - serdeczna do niego, poprosiła, by sobie po ogrodzie pochodził... A ja w strachu. Zostałam sama. Kręciła się tam jej córka. Migałam do

niej, lecz ona nic. Ale jakoś zaliczyłam na tę tróję.

Padło na Lębork

Po dyplomie dostałam nakaz pracy. Miałam do wyboru: Malbork, Kwidzyn, Iławę, Ostródę, Lębork, Wejherowo, Elbląg. W dziekanacie uczelni polecali Lębork, że to blisko morza, Ziemie Odzyskane: plaże, lasy, jeziora. Praca w szkole średniej przede wszystkim, a nie podstawowej. Mieszkanie. Padło więc na Lębork.

Z nakazem pracy pojechałam do Lęborka, do Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. Przyjęła mnie dyrektorka Aniela Bogutyn. Upewniłam się co do mieszkania, które szkoła oferowała w dwóch internatach do wyboru: na Zwycięstwa i na Chopina, i podjęłam decyzję na "tak".

W Toruniu porozmawiałam z Poldkiem. Od roku pracował w Instytucie Uprawy i Nawożenia Gleby przy ulicy Mickiewicza. Ludzi po studiach brakowało, na stanowiskach siedziały osoby bez matur. Mąż bez specjalnego kłopotu mógł więc przenieść się do pracy w niedalekim Wejherowie, w tym samym przedsiębiorstwie IUNG, choć trzeba było jechać w tym celu do Warszawy. Potem przeszedł na stanowisko inspektora, w końcu kierownika Wydziału Rolnictwa Powiatowej Rady Narodowej w Lęborku.

Zatrudniono mnie od 15 sierpnia 1953 roku i od września tego roku zaczęłam uczyć. Wpierw chemii, fizyki, kilka godzin biologii. Na etat z biologii czekałam rok. Pisałam na tablicy, zmazywałam. Byłam bardzo surowa. Prowadziłam zajęcia jak na studiach, robiłam wykłady akademickie. Przy pytaniu same dwóje. Uczennice nie umiały zapamiętać materiału. Przez cały dzień dwóje i dwóje. I tak przez kilka lat. Nie wiedziałam, dlaczego nie umieją. Uczyłam mechanicznie, nie powtarzałam. Wydawało mi się, że muszę mówić: *pinus sylvestris*, *mus musculus*, a nie sosna zwyczajna, mysz domowa, że uczennice muszą znać tę systematykę. A tu guzik z pętelką. Nauczyciel musi nabrać doświadczenia.



Rok 1953, siedzę w środku. Przy pytaniu same dwóje

Ach, to życie na początku. Jaki mieliśmy bagaż, co wieszaliśmy w szafie? Tapczan to mój tata kupił w Toruniu, dywan cioci wisiał na ścianie. Mieszkaliśmy na samym dole na początku, w jednym olbrzymim pokoju w internacie przy ulicy Chopina 13. Ten pokój służył wcześniej za świetlicę dla uczennic. W internacie na pierwszym i na trzecim piętrze mieszkały dziewczęta, na drugim nauczyciele.

Duży pokój, tapczan, stół tylko. Przychodzono do nas się bawić. Więc zabawy, goście. To pamiętam. Przyjęcia. Młodość. Co zarobiliśmy, to przehulaliśmy. Takie lekkie życie. Kiedy tylko kto zawitał, to zabawa. Panie przychodziły ubrane elegancko, po fryzjerkach, i panowie w krawatach. Niektórzy w kolorowych skarpetkach. Przez te pierwsze miesiące raz w tygodniu zawsze coś się

działo. Poldek ładnie tańczył. Inni też: Marian Zgubiński - chemik, Stanisław Serafiński od prac ręcznych, który znalazł się w Lęborku zaraz po wojnie, Danuta Barska - ucząca tańca i wychowania fizycznego, małżeństwo biologów Gołosiów - kolegów Poldka z Torunia. Danka balowała z historykiem Maciejewskim. Herbata, taniec, balangi. Bo to całe towarzystwo przyjechało do Lęborka wesołe, na luzie, po studiach z nakazami pracy. Pełne wolności i radości. Zaczęliśmy się stroić, jeździć do Gdyni za ubraniami. Nikt nie zbierał pieniędzy na starość. Przyjaźnie kwitły serdeczne. Nic nas więcej nie zajmowało - w głowie adapter, stroje, praca. To były najpiękniejsze chwile młodości.

Do tego, ucząc w szkole średniej, czułam się królową wśród tego grona. Gołosiowe i inni poszli do podstawówki i czuli się w tych podstawówkach źle. Przenosili się, w końcu puciekali z Lęborka. Serafiński, uzdolniony plastycznie, malujący obrazy jak Poldek, wyjechał do rodziny w Ameryce, zostawiając dom na Moniuszki.

Kiedy w internacie na Chopina zwolniły się mieszkania na górze, mogłam wybierać między nimi do woli: piętro pierwsze czy drugie? Pierwsze uszkodzili trochę uczniowie, bardziej spodobało mi się drugie. Przenieśliśmy się do mieszkania trzypokojowego z kuchnią, spichlerzykiem, oczywiście ubikacja mieściła się na korytarzu. Byłam w ciąży, przyjechałam do Lęborka już w ciąży.

Rodzice, którzy przechorowali mój ślub, o czym dowiedziałam się dużo później, nie odwiedzali nas. Paczki szły przez listonoszy. W końcu mama przekonała, udobruchała tatę, że życie bez ślubu to dopiero byłoby straszne. Przyjechali do nas dopiero wtedy, gdy urodziłam syna.

Moją najlepszą przyjaciółką była Danka Barska, z panińska Żaba. Mieszkałyśmy obok siebie. Ja z Poldkiem, dalej historyk Tadeusz Maciejewski, a przy sąsiedniej Targowej ona. Miała już męża, ale ten mąż coś działał, ukrywał się i aresztowało go UB. Dawała lekcje tańca w domach kultury, przedszkolach oraz świetlicach.



Z Danką Barską w parku; jestem w ciąży

Żyliśmy razem: schody drewniane, ubikacje wspólne na korytarzu, piece na węgiel, woda do mycia grzana na kuchni. Wpadła Danka i z buzią na Poldka, że już czas. Czas, a on nic nie robi. Wieczór, dziesiąta, ona wrzeszczy, że rodzę. Tak to wyglądała moja wiedza, żadnego uświadomienia. Wzięła mnie pod rękę, a Poldek chyba pobiegł przodem. Zaprowadziła mnie do szpitala, ileż tam jest, trzysta, czterysta metrów? Innej możliwości niż na piechotę nie było. Po godzinie urodziłam, ponoć się nakrzyczałam. Lekarz Szulc odbierał poród. Syn Janusz urodził się w kwietniu 1954 roku. Bo mój tata bardzo się martwił, że dzieci nie mam. Podśledzałam rozmowę na jakimś przyjęciu u wujostwa w Podgórzu. Że tyle lat po

ślubie, a nie ma dzieci.

Naturalnie Danka i Tadeusz zostali rodzicami chrzestnymi. Matka Danki i moja mama bardzo się polubiły, rozmawiały bez przerwy, obie z Kresów. Danka była córką przedwojennego pułkownika. Ona zerkała na Tadeusza, ale ten zakochał się w uczennicy, sensacja na tamte czasy. Spakował manatki i zniknął z tą uczennicą, zostawiając żonę z dzieckiem, chorym na Heine - Medina.



Syn Janusz z chrzestnymi

Towarzystwo rozjechało się, zabawy ustały. Z tych pierwszych młodych lat tylko Helena Skalczyńska, polonistka w Liceum Pedagogicznym, biologiczka Irena Bartczakowa i ja, tylko my trzy zostałyśmy w Lęborku. Wszyscy inni puciekali.

Kadrówka

Lęborską oświatą rządziła Zofia Witkowska omalże jak caryca, zresztą "carycą" ją nazywano, dyrektorka LO na Dygasińskiego. Działała w różnych gremiach i miała najwięcej do powiedzenia. Podobnie usytuowany był Zygmunt Lisiecki, dyrektor w Liceum Pedagogicznym. Trochę inaczej funkcjonowała dyrektorka Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli Aniela Bogutyn, która przyjmowała mnie do pracy. Gruba, w PZPR jak to dyrektor, a mąż z AK, nie pokazujący się. Nauczyciele zamknęli ją na całą noc w ubikacji w internacie na Chopina. Ale dlaczego? Nie wiem. Śmiałyśmy się, bo stawiała uczennicom zawsze jedno pytanie, do czego służy w przedszkolu wiadro. Dowcipkowaliśmy, jakie wiadro? Cynkowe, emaliowane czy żelazne? I nie wiem teraz, do czego to wiadro służy. Chyba do siusiania. Śledziła mnie. Stawiała na zielonym dywaniku, bo jakaś uczennica powiedziała jej, że poszłam do kościoła.

Inni też zwracali uwagę, kto chodzi do kościoła. To byli dobrzy ludzie, z charakterem. Jadwiga Bukowska, kulejąca na jedną nogę polonistka, Edward Zamirowski od języka rosyjskiego, Antoni Korcz. Bukowska rozmawiała nawet z moją mamą, kiedy mama przyjechała do Lęborka: - O, córka jest taka odważna. My się o nią boimy. - Mama powtarzała jej słowa, nie sugerowała niczego. Nikt wyraźnie nie zabraniał chodzenia do kościoła. Tylko uświadamiano, ustawiano, tłumaczono, że LWP to szkoła kadrowa, kształcąca nauczycieli przedszkoli. Że praca w szkole kadrowej zobowiązuje, że zawsze można zostać przeniesionym do szkoły podstawowej z o wiele większym obowiązkowym wymiarem godzin w etacie.

Jak wszyscy młodzi nauczyciele, miałam częste hospitacje. Przygotowywałam się do nich dobrze i nie miano do mnie specjalnych pretensji.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie wicedyrektor Mieczysław Andrzejczuk, historyk, na lekcję fizyki. Byłam bardzo przejęta, bo to wzory, wyliczenia. Pilnowałam, żeby nie złapał mnie na czymś. Po tragicznej śmierci biologiczki Franciszki Rückemannowej uczyłam już tylko biologii. Nasza szkoła przeniosła się na Marcinkowskiego jako Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli, bo wcześniej zajmowaliśmy dół budynku LO na Dygasińskiego.

Na dużej przerwie biegałam do domu sprawdzać, co mój mały, jedyny synek porabia. Ze szkoły do domu miałam dwieście metrów. Kiedyś wpadłam, a on siedział sam przy zabawce - kolejce z wagonami. Opiekunka z Jabłonowa, którą polecił mi mój tata, wyskoczyła gdzieś z chłopakiem. Zajmowała u nas jeden pokój. Odesłałam ją z powrotem do Jabłonowa. Potem przychodziły dwie dziewczyny, ale jedna z nich hodowała kozę. One się spóźniały przez tę kozę... Pomagali też moi rodzice, kiedy brali urlopy. Poldek nie mógł wyrwać się pracy, często wyjeżdżał w delegacje. Uzyskał potrzebny mu tytuł inżyniera - rolnika po zaocznych studiach na Wyższej Szkole Inżynierskiej w Olsztynie. Dopiero wtedy, kiedy syn poszedł do przedszkola, zrobiło się lżej.

Po erze Bogutynowej, która pozostała nauczycielką pedagogiki chyba dzięki członkowi władz PZPR i dyrektorowi LP Lisieckiemu, na dyrektora LPWP powołano Walerię Fegler. Nowa dyrektorka uczyła dotąd języka rosyjskiego w LP. Przyjechała do Lęborka ze Wschodu jako przedwojenna nauczycielka. Samotna, zamieszkała w połówce domu u bratowej. Matka Feglerowej zachowywała się bardzo kulturalnie, mówiła po francusku, może i była Francuzką.

Żyliśmy w szkole ciągłymi wizytacjami kuratorium z Gdańska i konferencjami pedagogicznymi. Aby sprostać kryteriom oceny wizytatora, należało wskazać cel poznawczy, cel wychowawczy oraz cel kształcący lekcji. Ucząc o dżdżownicy czy chelbi modrej, to musiałam zastanawiać się, jaki tu podać mu cel wychowawczy.

Moje lekcje były atrakcyjne dla młodzieży. Sprowadzałam ciekawe filmy przez centralę filmów oświatowych "Filmos", który prowadził w Lęborku pan Surowiecki. Udostępniał on nam też piękne kolorowe tablice niemieckie do biologii. Szkoła dysponowała na to pieniędzmi. Założyłam w gabinecie hodowlę kaktusów, które kwitły na różne kolory. Mnóstwo okazów zbierałam, bo młodzież miała obowiązek przynieść doniczkę z kwiatem. W klasie stały akwaria z rybkami: gurami, welonkami, gupikami, skalarami, glonojadami - i terrarium z żabą i dżdżownicami. Ponadto świnki morskie, chomiki, białe myszki, etc. Nawet pieczarki hodowałam w internacie. Wysyłałam młodzież do instytutów hodowli ziemniaka koło Wejherowa i Koszalina, by zbierała dane o sposobach hodowli. Na główny holl szkoły wstawiłam własne akwarium, bo nie było komu je czyścić w domu.

Chodziłam z uczennicami na wycieczki do parku, do lasu czy na łąkę. Z biblioteki brałam tzw. klucze do oznaczania roślin i młodzież rozpoznawała mleczce, chabry, stokrotki, maki na ich podstawie. W parku uczyłam nazw drzew, krzewów itd. Jak na studiach... - w Toruniu zdawałam tak egzamin z botaniki ogólnej. Pan profesor się śpieszył. Naszą zdającą grupkę popędził ulicą Bydgoską, pytając po drodze o drzewa i rośliny: - Co to, a co to? - I należało koniecznie odpowiadać po łacinie.

Potem działka. Moją działkę przyszkolną uznawano za najlepszą. Sadziłam różne gatunki ziemniaka, a przy sadzonkach umieszczałam tabliczki z nazwami po polsku i po łacinie. Kiedyś zorganizowałam wycieczkę do Krzysia Rostańskiego na Uniwersytet Wrocławski, bo Krzyś, kolega ze studiów, podjął tam pracę naukową i

eksperymentował w pięknym ogrodzie botanicznym.

Potrafiłam utrzymać dyscyplinę na lekcji. W klasie słyszało się przelatującą muchę... Gdy ktoś się poruszył, to kazałam zaraz powtarzać po mnie materiał. I dwójka.

Ubierałam się ładnie przez wszystkie lata. Do dziś moje uczennice - takie panie Małgosie - opowiadają, że one nie słuchały, co mówię, tylko patrzyły na moje sukienki. A ja przecież zamawiałam je u sławnych krawcowych w Lęborku, na Okrzei, przy rzeczce. Krawcowa Listowska uszyła mi kiedyś długą suknię z czerwonej lamy - krzyk mody: rękawy w klosz, dół z falbanami z rozcięciem, gorset, uszyty dodatkowo w Gdyni. Mąż Listowskiej kazał mi stanąć w tej sukni na stole, by podziwiać. Chodziłam w niej na bale i trzymam ją do dziś w szafie na pamiątkę.

Dyrektorka szkoły Feglerowa zaufała mi. Pewnie dlatego, że zobaczyła we mnie solidną, pracowitą dziewczynę. Mieszkała niedaleko, przez podwórze. Chodziłyśmy razem na spacer, zapraszała nas i moich rodziców, kiedy do mnie przyjeżdżali, do swego domu. Syn biegał do niej na telewizor, bo nie mieliśmy jeszcze swego. I to ona zrobiła mnie kierownikiem internatu LPWP przy ulicy Okrzei w 1958 roku. Internat na Chopina, gdzie mieszkaliśmy, stał się normalną kamienicą komunalną. Odtąd przez całe lata siedziałam na dwóch etatach: pracowałam jako profesorka w liceum i kierowniczką w internacie. Stałam się prawą ręką dyrektorki. Kiedy wyjeżdżała, prosiła mnie o nieformalne zastępstwo.



Od lewej: ja, Aniela Bogutyn, chemik Marian Zgubiński, Waleria Fegler

Feglerowa działała w Stronnictwie Demokratycznym, została radną w powiecie lęborskim, nawet posłanką z ramienia SD w 1961 roku. Działała społecznie. Ponieważ podobało mi się to, zapisała mnie do SD. Do Ligi Kobiet też. Mam nawet legitymację Ligi Kobiet, którą wręczyła mi w 1955 roku, wypełniwszy ją swoim charakterem pisma.

W działalności społecznej to były lata pionierskie. Pod patronatem LK organizowaliśmy pogadanki dla kobiet: jak kulturalnie zachowywać się przy stole, jak dbać o higienę osobistą, jak zdrowo gotować, jak opiekować się dziećmi. Wiele kobiet, głównie pochodzących ze wsi, było analfaberkami.

Lidze Kobiet w Lęborku szefowała dyrektorka LO Witkowska. I ona - gdy biolog LO Henryk Brychczyński odczuwał niedyspozycję - zaraz dzwoniła do mnie i dawała mi godziny w zastępstwie. Swego biologa nie lubiła. Trzęsła całą pracą społeczną. Wciągnęła mnie do prominentnego zarządu LK z żoną dowódcy jednostki wojskowej "niebieskich беретów" i żoną dowódcy milicji. Ceniła mnie. I mego tatę. Prosiła, bym informowała ją zawsze, kiedy tata przyjedzie. Wtedy przychodziła do nas. W pokoju stały zielone fotele, lampa, przy której lubiła usiąść i z tatą moim rozmawiać. Sprzedała nam swoje pianino, chyba polskie, by mój syn uczył się na nim grać. Była czynną dyrektorką do 1965 roku. Dziećmi swoimi zajmowała się mniej solennie niż pracą społeczną - tak naprawdę wszyscy znajomi

opiekowali się jej dziećmi - ale kiedy jej młodszy syn zachorował i potrzebował nerki, to ona oddała mu swoją bez wahania. Długo oboje nie żyli. Ten syn umarł po kilku latach, ona jakiś czas po nim w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

Zapisywano mnie do różnych organizacji przy byle okazjach, trudno wszystkie wymienić. Dyrektorka Feglerowa zabierała mnie do Gdańska - Wrzeszcza, na ulicę Sobótki. Schodzili się tam profesorowie wyższych uczelni, elita gdańska SD. Podobało mi się, to imponowało, taka młoda byłam. W 1965 roku zostałam nawet delegatką na krajowy zjazd SD.



Z dyrektorką Feglerową na VIII Zjeździe SD w Warszawie w 1965 roku.
Włosy obcięłam "na pazia"

Szedł rok za rokiem. Zostałam radną Miejskiej Rady Narodowej w Łęborku na lata 1965 - 1969. Za działalność społeczną uhonorowano mnie Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego w 1966 roku. Dawałam sobie radę z wieloma obowiązkami i społecznymi, i zawodowymi. Po szkole całe wieczory spędzałam w internacie. Początkowo Poldek czekał na mnie, by mnie odprowadzić do domu - kilometr przez puste łęborskie ulice, koło parku, założonego na miejscu ewangelickiego cmentarza. Potem przestał. Stwierdził, że nie będzie wystawał tak długo i czekał. A ja musiałam wszystko sprawdzić: krany, ubikacje, prąd. Taka byłam. Kuchnię kontrolowałam, by nie kradli. Złapałam kiedyś pracownicę, jak kotlety wynosiła.

Z tym internatem to mieliśmy dobrze wszyscy. Połowa grona pedagogicznego stołowała się tam z rodzinamiomalże za friko. Codziennie obiady, i to jakie?! Porcje olbrzymie, urozmaicone. Kucharki Władysława Ostas i Helena Tkaczyk gotowały wspaniale, konkurowały między sobą w swym kunszcie i prześcigały się, by nam dogodzić. To dzięki nim jadał u nas nauczyciele też z innych szkół, choć mogli przecież u siebie.

Kwiaty marzły w ręku

Zmarli rodzice taty. Nie poznałam ich nigdy. Mama opowiadała o nich cudownie, że to byli bardzo dobrzy ludzie. Posiadali dom w Żurominie. Tata miał brata - organistę w jakiejś wsi, ponadto jeszcze jednego brata oraz siostrę Tereskę, nauczycielkę w Ciechocinku. W czworo podzielili się spadkiem od razu. Wzięli po dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Syn brata - organisty, Kazik, doszedł do stopnia pułkownika w lotnictwie. I ten brat - organista powiedział tacie: - Widzisz, ja mam dwoje dzieci, ty jedno. - Skończyło się na tym, że pożyczył od taty pięć tysięcy na wieczne nieoddanie.

Pułkownik pilot Kazik Kompiński był wyróżniany przez moich rodziców za

to, że awansował w wojsku tak wysoko. Teresa już nie, bo nie wyszła za mąż i sprzeciwiała się ślubowi Kazika. A ten, biedniejszy z domu, ożenił się z jakąś dziedziczką dużego majątku. Mojej mamie nie podobało się, że siostra wtrącała się w życie brata.

Tata przeznaczył pieniądze dla nas. Chciał nam kupić pół domu w Lęborku, na Moniuszki, po emigrującym za ocean Serafińskim. Sprawy własnościowe wyglądały jednak skomplikowanie. Nikt nie umiał tego załatwić, a ja nie miałam czasu ani wewnętrznego przekonania do prowadzenia tej sprawy.

Kupiliśmy za to samochód. Moskwicza 405. Cała pensja Poldka szła na spłatę rat przez trzy lata. O, niewielu znajomych posiadało wtedy wóz: piekarz, ogrodnik... - to chyba wszystko. Zaczęliśmy jeździć do Gdyni, na zakupy na Świętojańską, albo do Wejherowa, do kościoła. W Lęborku nie mogłam przecież... A i w Wejherowie oglądałam się ciągle za siebie, gdyż do szkoły chodziło pełno uczennic z tego miasta. Nerwówka. Bałam się, że mnie gdzieś przeniosą, do podstawówki, a tam biegające dzieci, hałas, Jezus, głowa bolała. W podstawówce wchodziło na etat dwadzieścia cztery godziny, a u nas osiemnaście. Każdą godzinę powyżej opłacano jako nadliczbową.

W Gdyni zachodziliśmy do tak zwanych komisów - sklepów z towarami, przywożonymi przez marynarzy z Zachodu. Kupowałam materiały, które się nie gniotły. Krawcowe moje szyły - do dziś trzymam ich sukienki. Ekstra się ubierałam, chodziłam w szpilkach, fryzjerki czesały mnie w modny kok. Poldkowi kroił garnitury krawiec Budzich. Czuliśmy się szanowani, zwracano się do nas: "pani profesor", "pani kierowniczo" albo "panie inżynierze". Do tego malowane przez Poldka obrazy olejne cieszyły się uznaniem naszych znajomych, wręcz podziwem dla jego artystycznych zdolności.

Zachorował mój tata. Na niedokrwistość. Bał się szpitala. Chciał, by lekarz podał mu krew w domu, choć tak nie wolno. Jabłonowski lekarz - przyjaciel pojechał z tatą do Brodnicy i podał mu krew w szpitalu. Tata stanął na nogi, wrócił do pracy. A mama zachowywała się niezaradnie życiowo. Nigdzie nie ruszała się beze mnie. Nie wyjeżdżała w obawie, że się zgubi, nie wiedziała, jak się ubrać, etc. Tata widział to. Poprosił mnie pewnego dnia, bym zaopiekowała się mamą, gdy jego zabraknie.

Słabł, zaczęły powtarzać się ataki niemocy. Podano drugi raz krew. I trzeci - co już nie poprawiło stanu zdrowia.

Załatwiłam wizytę prywatną u Zdzisława Kieturakisa - sławnego profesora w klinice na Łąkowej w Gdańsku. Profesor uratował jakąś królową szwedzką, dostał za to złote rękawiczki. Energiczny, niewysoki człowiek. Ciężko się było do niego dostać, ale ustaliłam przez jego gospodynię wszystko. Zapłaciłam. Chodziło o to, by wziął tatę do kliniki i zaopiekował się nim.

Profesor Kieturakis przyjął tatę na Łąkową. Ludzie umierali na sali. Tata się wystraszył, krzyknął, że wyjeżdża. Więc ja do Kieturakisa, że tata chce do domu. A ten nic. Nie chciał wypuścić. Kupiłam kwiaty, żeby podziękować. On nie dawał jeszcze wypisu.

W końcu... z Gdańska do Lęborka przetransportowałam tatę karetką. Tata mieszkał u mnie, dopóki nie załatwiłam dobrego szpitala wojskowego w Grudziądzu. Polecieliśmy tam helikopterem. Stał taki śmigłowiec lęborskiego pogotowia ratunkowego na lotnisku w Mostach pod Lęborkiem. Otrzymałam pozwolenie na lot dzięki oddanej mi parze lekarskiej Janiszewskich. W Grudziądzu doświadczyliśmy ciepłego przyjęcia i atmosfery. Ordynator roznosił wieść, jaka to

ze mnie wspaniała córka. Kiedy stan zdrowia chorego poprawił się trochę, karetką wróciliśmy do Jabłonowa.

Tata strasznie chciał pracować. Wspaniały, przyjacielski lekarz rodzinny zalecał, by nie pracował. Tata nie posłuchał. Znowu pogorszenie i przyjazd ponownie do mnie, do Lęborka. Moja mama została w Jabłonowie z niewidomą babcią. Na jakiś czas tylko załatwiła opiekę dla babci u sióstr pasterek. Babcia miała tam dobrze, ale tęskniła.

Nie dawałam rady. Szkoła, internat, praca społeczna na głowie. Nie nad wszystkim mogłam zapanować. Tata spadł raz z tapczana. Uroił sobie, że Kazik - ten syn organisty - przyjechał czarną wołgą i w mundurze pułkownika stoi pod domem. Czekaj i zaraz go zabierze gdzieś, gdzie wyzdrowieje. Kiedy tacie majaczyło się coś w chorobie, to wołał też dyrektora poczty wojewódzkiej w Gdańsku Machowinę: - Dyrektor Machowina przyjechał, on pomoże. - Tego dyrektora bardzo szanował.

Po powrocie do Jabłonowa tata miał dobrze w słonecznej sypialni. Lekarz przychodził, ale nie wiedział, jak może pomóc. Tata słabł. Nie było ratunku. Nikt nie orzekł, że to białaczka, tylko że niedokrwistość. Skoro miał jeść ryby, wątróbki, drób, to robiłam paczki w internacie i wysyłałam. Tyle tego było, że mama nie wiedziała, co z nimi robić. W słoikach woziłam czarninę. Kiedyś Aleksandra Kunicka, intendentka w internacie, dobra kobieta, bez mojej wiedzy wysłała mamie jeszcze kurę. - Haneczko, przestań! - prosiła mama.

Przyszło Boże Narodzenie 1969 roku. Planowaliśmy spędzić święta w Jabłonowie, lecz mama napisała, bym przyjechała wcześniej. Koleżanki w szkole poszły mi na rękę i zgodziły się na zastępstwo. Tatę zastałam bardzo słabego, mimo to chciałam wrócić jeszcze do Lęborka. Mama poprosiła: - Zostań tę noc. - Rano myśleliśmy tatę. Trzymałam go od góry. I na moich rękach umarł. Miał tylko sześćdziesiąt trzy lata.

Nie było płaczów, byliśmy przygotowani psychicznie na śmierć. Mama wyciągnęła koce i położyła tatę na podłodze. Chodziło o to, by ubrać zmarłego w porę, bez problemów. Garnitur. Bardzo łatwo to wszystko poszło.

To była gdzieś jedenasta rano. Tata leżał ubrany na dywaniku, na tej podłodze. Wyszyliśmy. Jedna z nas poszła załatwiać trumnę, to chyba ja, a druga pobiegła do księdza. Drzwi w mieszkaniu na poczcie nie zamknęliśmy, nikt nie bał się kradzieży. Rozbiegaliśmy się po mieście, a codziennie w południe przychodził do taty fryzjer, jego przyjaciel, golić go. No i jak ten fryzjer wszedł... I jak zobaczył tatę na ziemi, ubranego odświętnie na czarno... Dostał ataku przerażenia, szoku. Wybiegł z poczty. Listonosze donosili, że leciał przez ulicę, krzyczał, uciekał. Całe Jabłonowo o tym mówiło. Że się wystraszył. A my jak gdyby nigdy nic, bogu ducha winne wróciliśmy do domu.

Proboszcz Panek sprawił pogrzeb najwyższej - jak zaznaczył - rangi. Mama wskazała na cmentarz w Brodnicy, by cała rodzina mogła leżeć w jednym miejscu. Ale ksiądz Panek odprawił mszę i tak w Jabłonowie. Poza tym dał aż czterech swych księży do Brodnicy. Dużo ludzi zjechało. Na poduszkach umieszczono taty medale, odznaczenia pocztowe, dyplomy radnego Stronnictwa Demokratycznego. Poczta podstawiała samochód - pulmana. - O, pulman zjechał po naczelnika - mówili pocztowcy. Nieśli oni potem trumnę na ramionach i w Jabłonowie, i w Brodnicy - oraz nowy sztandar pocztowy, wyhaftowany z inicjatywy taty i mamy przez siostry pastereki. Trwała zima stulecia. Kwiaty marzły w rękę.

Awantura

Organizowałam wycieczki w góry dla młodzieży szkolnej. Do Zakopanego, Wisły, Karpacza. Co roku gdzieś wyruszaliśmy. Najlepiej jeździło się mi z chemikiem Marianem Zgubińskim. Potrafiliśmy przygotować wycieczkę perfekcyjnie: trasę, podróż, wyposażenie, noclegi, maszynkę do gotowania, konserwy, nie to, co dziś, że się idzie do baru na jedzenie. Organizowałam bale maturalne, a jeden to nawet na statku. Komu by się tak chciało? Intendentka Ola z internatu dowoziła nyską wyżywienie na MS "Grażyna", łącznie z tortami. Z nabrzeża w Gdyni, tam gdzie cumował ORP "Burza", wypłynęliśmy. Całą noc spędziliśmy w morzu. Młodzież bawiła się na pokładzie, w kabinach odpoczywała. Wszystko dałam radę załatwić.

W internacie straciłam mnóstwo zdrowia jako kierowniczką. Pilnowałam spraw gospodarczych, wychowawczych. Ten internat to stał się moim drugim domem. Dobrze wspominam współpracę z moją zastępczynią Heleną Juszcuk, też z Katarzyną Stawską, wychowawczynią i nauczycielką plastyki.

Poziom wykształcenia pedagogów dziwiłby dziś. To była epoka nauczycieli z różnymi dyplomami, ze studiami lub często bez studiów. Dyrektorka Bogutynowa skończyła przedwojenne seminarium, plastyk Zygmunt Gulgowski też. Skałczyńska, polonistka, ze studiami, ale magisterium zrobiła zaocznie. Bartczak, biolog, poszła pracować do sanepidu. Ja też chciałam dorobić do dyplomu magisterium z biologii. Pojechałam do Torunia w tym celu, ale trzeba było zaliczać ćwiczenia na miejscu. Bez sensu, niewykonalne, nie dało się, bo dziecko, bo praca. Ostatecznie zrobiłam wieczorowo magisterkę z pedagogiki na Uniwersytecie Gdańskim dopiero w 1971 roku. Na studiowanie pedagogiki namówiła mnie Katarzyna Stawska z internatu i razem z nią jeździłam na zajęcia do Gdańska. Na tej pedagogice dziekan pozaliczał mi różne przedmioty z Torunia, w tym języki. Dobrze wyszło, bo mogłam uczyć potem dodatkowo przedmiotów pedagogicznych.

Okopałam się w internacie jak w twierdzy. Niektóre nauczycielki przychodziły na dyżury, posiedziały, poplotkowały i nic. Na każdym kroku bylejakosć. Kuratorium gdańskie przyznało internatowi spore pieniądze na wymianę pieców węglowych na centralne ogrzewanie. Dyrektorka Feglerowa nie przyjęła ich, tłumacząc się brakiem wykonawców. Co ja na to? Znalazłam wykonawców i pieniądze pozostały. Zadra z dyrektorką na tym tle też. Bój toczyłam o wymianę oświetlenia na mniej szkodliwe w pokojach wychowanek. Grono nauczycielskie nie mogło pojąć, czemu i o co ja tak walczę?

Dbałam, by uczennice miały jak najlepiej. Trzymałam dyscyplinę i wśród personelu, i wśród dziewcząt. Nie rozumiano tego.

No i pewnego popołudnia przyjechali do internatu rodzice jednej z uczennic. Ona i on: wysocy, przystojni, z Łęczyc, w długich kożuchach, z zawodu lekarze. I w tej małej mojej kancelarii krzyki, pretensje... Krzyczeli, że oni płacą pieniądze matematykowi Klemensowi K. za korepetycje, a on wykorzystuje ich córkę seksualnie. Nic nie wiedziałam. Po kilku dniach przyjechała matka innej dziewczyny, robotnica ze Słupska, i to samo. Musiałam przynieść jej w misce wodę gorącą w celach higienicznych.

W dobrej wierze poszłam z tą wiedzą do szkoły. Raz - że seks z nieletnią, dwa - płatne korepetycje, dawane własnym uczennicom, a tego nie wolno było robić. Dyrektorka Feglerowa - zamiast przejść sprawę - wystąpiła z pretensją do mnie, że wywołałam zamęt. Zwołała naradę. Szkolna podstawowa organizacja PZPR, której I

sekretarzem był właśnie nauczyciel matematyki Klemens K., zorganizowała konferencję na mój temat. Zawołali mnie i od razu nazwali pieniaczem. Zamiast K. - to mnie posadzono na ławie oskarżonych. Znalazłam się w matni. Niejedna łezka poleciała mi wtedy. Nieświadomie naruszyłam układy towarzyskie, jakieś środowiskowe powiązania, sięgające Kuratorium w Gdańsku.

Przepadałabym z kretesem, gdyby nie to, że rodzice tych uczennic - mimo nacisków ze strony szkoły - wytrwali w zarzutach i nie poddali się. Podali sprawę do sądu. Trzymałam ich stronę. Zeznawałam korzystnie dla uczennic, oskarżanych o wszystko, co najgorsze.

W tym czasie preparowano zarzuty wobec mnie. Brano je z sufitu. Nie wiedziałam o tym. Zwolniono mnie ze stanowiska kierownika internatu. Byłam w kropce, znikąd wsparcia, więc w ramach protestu wystąpiłam z SD, któremu szefowała dyrektorka Feglerowa, do niedawna posłanka. Kolega pedagog Waldemar Baruk zasugerował, by szukać mocy gdzie indziej, zapisać się do PZPR i walczyć jak równy z równym. Tak też zrobiłam kilka lat później.

Być może zamieciono by sprawę pod dywan - bo w sądzie lęborskim i gdańskim działały się różne dziwne rzeczy najprawdopodobniej pod naciskiem szkolnych i miejskich towarzyszy partyjnych - ale rodzice uczennic sprowadzili dziennikarza z Warszawy. Sprawa nabrała publicznego wymiaru. Ukazał się artykuł "Kompromitacja? Kogo?" (Mieczysław Staszewski, "Walka Młodych", 13 sierpnia 1972 r.). Lektura artykułu wywołuje u mnie palpitację serca do dziś. Zacytuję fragmenty, by pokazać, w jaki sposób próbowano zniszczyć mnie jako człowieka.

"Anna Sobolewska kieruje internatem od czternastu lat. (...) W jej teźce personalnej nie było niczego, co wskazywałoby, iż jest "osobnikiem, którego wszyscy mają dość". (...) Kolektyw kierowniczy szkoły (...) formułuje swą jednobrzmiącą opinię o Sobolewskiej. Wg tego dokumentu jest ona jednostką wyjątkowo szkodliwą, dopuszczającą się "skandalicznych antywychowawczych wyczynów", "jednostką działającą na szkodę kolektywu", przejawiającą "wybitnie złośliwy stosunek do dyrekcji i sekretariatu", i psującą dobre imię członków kolektywu. Szkolny Kolektyw Kierowniczy "kierując się wyłącznie dobrem szkoły (...) postanawia położyć zdecydowany kres dalszemu tolerowaniu cynicznej i świadomie rozbijackiej postawy Sobolewskiej". Bezkompromisowość opinii i jej sentencji potwierdza 20 podpisów. Opinia nie podaje żadnych faktów, uzasadniających niezwykle ostre sformułowania(...).

Kuratorium (...) staje się jawnym sojusznikiem K., wykonując skwapliwie wszystkie jego "zlecenia". 21 listopada 1971 r. K. kieruje do Kuratorium pismo, przedstawiające Sobolewską jako szantażystkę, inspiratorkę kampanii przeciw niemu, posiadaczkę wyjątkowo bogatego zestawu metod prowokacji i systemu donosicielstwa, jako wroga PRL (ten zarzut potwierdzić ma prof. Aniela B., jedna z nauczycielek), jako osobę niemoralnego prowadzenia, terrorystkę w stosunku do wychowanek, fałszerkę protokołów, wyludzającą pieniądze od mieszkanek internatu (...). W aktach Sobolewskiej jest jeszcze wiele dokumentów - oświadczeń, wyjaśnień, zeznań. Roi się w nich od oskarżeń (...) i krwiożerczej wręcz chęci obrzucenia przeciwniczki maksymalną ilością błota. (...) Akta osobowe Sobolewskiej trafiają z Kuratorium... prosto do akt karnych sprawy K.!

(...) Potrzebne jest maksymalne skompromitowanie Sobolewskiej i jej wychowanek jako prawdomównych i godnych zaufania świadków w toczącym się od miesięcy procesie karnym niesolidnego nauczyciela matematyki, w procesie, którego termin odraczano już czterokrotnie z powodów budzących wątpliwości i który ma

wszelkie cechy działania, obliczonego na psychiczne zmęczenie występujących w nim osób. Ale równocześnie jest to pytanie o skuteczność społecznej kontroli działania władz państwowych, administracyjnych, sądowych. Od niej, od jej skuteczności, zależy przecież także kształt codzienności Polski powiatowej".

Atmosfera absurdalnych oskarżeń, matni i zagrożenia trwała bardzo długo. Odcisnęła na mnie swoje piętno. "Wróg PRL" - to wtedy miało swoją wagę. W Polsce "młodego Gierka" - a więc w okresie pewnych nadziei na sprawiedliwe przemiany - nauczyciel Klemens K. dostał ostatecznie duży wyrok i poszedł na kilka lat do więzienia. Kierowniczką internatu została - choć nie od razu - Helena Juszczyk, moja zastępczyni. Odebrano mi dodatek nadzwyczajny za pracę.

Zaczęłam wyłącznie uczyć. Posiadałam w końcu dwa fakultety jako jedyna w szkole: biologię i pedagogikę. Po jakimś czasie zwrócono mi dodatek nadzwyczajny za pracę. Nie straciłam na zarobkach. Zyskałam za to wolny czas. I po co, o co tak walczyłam?

Sprawa, którą opisałam, stanowi moją największą zawodową traumę. Z wieloma osobami, występującymi wtedy przeciwko mnie, widuję się dziś w zgodzie w różnych sytuacjach, w tym na niwie społecznej.

Wyrobiłam się

Po 1975 roku Lębork odłączono administracyjnie od Gdańska i przydzielono do nowego województwa słupskiego. Powiat lęborski, za rozwój którego uhonorowano mnie w tym czasie odznaką "Zasłużonym Ziemi Lęborskiej", zlikwidowano. Syn mieszkał już od dwóch lat w Krakowie, dokąd wyjechał na studia. Nie sądziłam, że zostanie tam na stałe.

Powstały nowe obszary działania na Pomorzu, rozwijał się i Słupsk, i Lębork. Miałam w tym swój udział. Przecież od dawna udzielałam się w komitetach mieszkańców. Zostałam przewodniczącą komitetu osiedlowego samorządu mieszkańców nr 1 "Południe" w Lęborku. Tę formę samorządności propagowano wtedy mocno. Promowałam Lębork poprzez ogródki jordanowskie, choćby te przy ulicy Wyspiańskiego czy Okrzei, kiedy Słupsk takich nie miał. Walczyłam z ADM, bo oni nic nie robili. Interweniowałam w sprawach przystanków autobusowych, problemów mieszkaniowych. Te kominy, te piece. Lokale dla biednych. W pokoju obwodu komitetu osiedlowego na Sienkiewicza założyłam bibliotekę. Byłam wygadana. W Słupsku umiałam przedstawić swoją pracę, inicjatywy, kiedy inni niewiele mieli do powiedzenia. Gdy przychodziło gdzieś pojechać, zaprezentować się, to Słupsk wybierał mnie. Spotykałam się z najwyższymi dostojnikami, tymi z MO, z wojska. Bałam się ich trochę. Ale oni byli pomocni, na przykład taki Henryk Rutkowski, pułkownik, jakiś szef MO w Słupsku. Uczyłam jego córkę. Uczyłam też córkę szefa marynarki, prezentującego się na wywiadówkach w pięknym mundurze ze sznurami...

Wyrobiłam się. Bo na początku mojej działalności społecznej to nogi się pode mną uginały, kiedy przyzywały mnie władze. Wchodziłam... A raz dyrektor Liceum Pedagogicznego Lisiecki z egzekutywy PZPR nalał mi kawę do małej porcelanowej filiżanki. Ani łyka nie wypilałam ze strachu. Przybiegałam do domu i opowiadałam swoje przeżycia, ale mężowi nie podobało się generalnie to wszystko.

W Lęborku zjawiał się Ryszard Kurylczyk jako I sekretarz KM PZPR. Konferencja, jakieś posiedzenie społeczników. Spóźniałam się zawsze na takie spotkania, bo musiałam być w szkole na lekcjach. Doleciałam z ulicy

Marcinkowskiego, weszłam. Nie było krzesła. Gdzie usiąść? Nikt się nie ruszył. A Kurylczyk z daleka, zza stołu prezydialnego wstał, spojrzął wymownie na mnie - i wskazał na swoje krzesło. Od razu znalazły się wolne fotele. Potem nieprzerwanie podziwiałam jego kulturę, sposób, w jaki traktował ludzi. To go wyróżniało wśród wszechobecnego wcześniej chamstwa, to imponowało.

W 1977 roku zostałam delegatką na ogólnopolski zjazd samorządowy, odbywający się pod patronatem przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego w Sali Kolumnowej Sejmu i Rady Państwa w Warszawie. Pojechałam z żoną wicewojewody śląskiego i jeszcze z jakimś panem z ziemiańskimi manierami. Żona wicewojewody mówiła z trybuny.

Wkrótce dostałam zaproszenie na sesję powiatową rady narodowej, z udziałem miejscowych władz. Wszystkie panie stały w hollu, a Kurylczyk wysunął się ku mnie o krok. I - witając się - oznajmił: - Dzień dobry przewodniczącej Ligi Kobiet! - Zgłupiałam. Po prostu "mianował" mnie przewodniczącą LK w Łęborku. Skoro mnie wybrał, no to jeździłam po tych spotkaniach. Kiedyś dla setki kobiet w Gminnej Spółdzielni, na Pionierów w Łęborku, wymyśliłam wizytę lekarza Janusza Kowalskiego. Doktor nic o tym nie wiedział, kiedy zabierałam go ze szpitala. Aż stanął jak wryty: - Ja nie mam koszuli, krawata, nic. Mam iść do kobiet? - Przestraszył się bardzo tych kobiet. Był ginekologiem. Parę lat temu siedliśmy na ławeczce i wspominaliśmy to wydarzenie z uśmiechem.

Działałam. Z czym bym nie poszła do Kurylczyka, to mi pomagał. Darmowe kursy kroju i szycia w powiecie? Oczywiście, z załatwieniem maszyn do szycia. Nawet moje koleżanki ze szkoły, niech wspomnę koleżankę pedagog od wychowania przedszkolnego czy koleżankę matematyczkę, chodziły uczyć się tam szyć. Jeździłam po okolicy, po wsiach. I w Łebie wywalczyłam mieszkanie dla jakiejś kobiety, borykającej się z mężem pijakiem.

Trudno o wszystkim pamiętać, ale jak dotarło do mnie doniesienie z Krępy o zaniedbywaniu dzieci przez sołtysa, to ja jechałam to badać... Interweniowałam w sprawie dzielnicy, tej za torami kolejowymi, gdzie ludzie mieszkali w barakach. Zdobywałam wsparcie finansowe dla najbiedniejszych, wkraczałam w sprawy konfliktów rodzinnych, etc. Pomagało mi w tej pracy wiele osób. Jak wymienić wszystkich, by kogoś nie przeoczyć. Chciałam remontować mieszkanie żony jakiegoś komandora przy ulicy Emilii Plater. Załatwiłam przeniesienie jej na czas remontu do szpitala dzięki psychiatrze Januszowi Kabzie. Pojechaliśmy razem po tę kobietę, bo ona nie chciała wyjść z domu. Przez miesiąc przebywała w szpitalu. Aż tak długo trwał remont. Koniec okazał się tragiczny. Spaliła się.

Oczywiście cały czas uczyłam na pełnym etacie w szkole. Biologii, biomedycznych podstaw rozwoju i wychowania, też gospodarstwa domowego w klasie zawodowej. Dobrze czułam się w swoim zawodzie. Z przyjemnością szłam na lekcje. Jako nauczyciel otrzymałam stopień "mianowanego profesora szkoły średniej". Za pracę zawodową wręczono mi Złoty Krzyż Zasługi w 1977 roku. W 1979 roku wyróżniono mnie "Odznaką honorową za zasługi dla województwa śląskiego". Uczennice do dziś okazują mi sympatię, wspominają moje suknie, moje włosy, uczesane w kok.



Uczesana w kok w 1979 roku. Przemawiam w 1982 roku

W 1981 roku, dwa tygodnie przed stanem wojennym, uczestniczyłam jako delegatka w VIII Nadzwyczajnym Krajowym Zjeździe Ligi Kobiet w Warszawie, na którym Liga Kobiet zmieniła nazwę na Liga Kobiet Polskich. Zapamiętałam sporo doniosłości i emocji politycznych.

Nadszedł czas wyliczeń emerytalnych. Poszłam za kalkulacjami księgowej i innych osób. Dobrze zrobiłam. Dyrektor Józef Deska chciał mi dać krzyż "chlebowy" ze szkoły, ale Helena Stępniova, przewodnicząca wojewódzkiej Ligi Kobiet Polskich w Słupsku, uparła się, by mi z Ligi - za działalność społeczną - przyznać Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Wpięto mi go galowo w Słupsku, na uroczystym spotkaniu, z artykułem i zdjęciem w prasie.

Dostałam Krzyż i emeryturę w 1985 roku. Ale niewiele się zmieniło, bo nadal uczyłam. Miałam mnóstwo zajęć. Lokal Ligi trzymałam do końca PRL. Bo tam był telefon. Chciałam, by wziął go PSS Społem, ale aparat z numerem zabrała poczta po 1989 roku. Dostałam dyplom: *"W uznaniu zasług w pracy zawodowej i społecznej oraz zasług dla miasta Lęborka, uchwałą nr 25 Miejskiej Rady Narodowej w Lęborku z dnia 10 marca 1989 roku, została Obywatelka wpisana do Księgi Honorowej Zasłużonych"*. Po PRL przestałam być gdziekolwiek zapisana, tak jak wcześniej byłam zapisana wszędzie. A organizacja kobieca zniknęła z Lęborka na dobre razem z lokalem.

Na początku lat dziewięćdziesiątych uchwalono zmiany emerytalne. Nie dotyczyły mnie chyba, skoro nadal uczyłam bez konieczności zawieszania emerytury. W 1993 roku dostałam ponad osiem tysięcy złotych nagrody po czterdziestu latach pracy. Kupiłam sobie za to płaszcz skórzany.

Odeszłam ze szkoły 1 stycznia 2003 roku. Dyrektor Marek Biały dałby mi może jeszcze jakieś godziny, ale kosztem dwóch młodych biolożek. Ucząc na "wieczorówce" powiedziałam, że odchodzę, ale społecznie doprowadzę do końca, czyli do czerwca, uczennice i uczniów, piszących u mnie maturę z biologii. W lokalu komitetu osiedlowego umawiałam się z grupą pięciu czy sześciu uczniów, by powtarzać materiał. Dyrektor z księgową myśleli jeszcze, jak mi zapłacić za to, ale nie znaleźli sposobu.

Pracowałam więc blisko pięćdziesiąt lat w jednej szkole. Szkoła moja tylko co jakiś czas zmieniała nazwy: LWP, potem LPWP, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych - Studium Wychowania Przedszkolnego, od połowy lat osiemdziesiątych - Studium Nauczycielskie, od 1992 roku - LO nr 2 i Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 2. Tej pięćdziesiątki nie zauważono, zabrakło mi jednego semestru do formalnego jubileuszu. Jedyne lęborski oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego przekazał mi laurkę "Jubileusz 50" ze słowami: *"Przez wiele lat działałaś (działałaś - dop.) na związkowej niwie, niejednokrotnie broniąc pozycji i godności nauczyciela (...). Życzymy wiele sił życiowych i nowych pomysłów, które wzbogacą oraz uatrakcyjnią nasze związkowe życie. Za Zarząd Sekcji Bożena"*

Linowska".

Młodzież zmieniała się przez pokolenia. Początkowo - dystans do nauczyciela, szacunek, a dziś - to luz. Ileż miałam kłopotów z poprawianiem ocen niedostatecznych... Dopiero praktyka nauczyła mnie selektywności nauczania. Po roku, po dwóch, coraz niżej, niżej, coraz bardziej obniżałam poziom. Aż zamiast wykładać przez godzinę, mówiłam pięć zdań. Wypracowałam metodę. Te zdania powtarzałam pięć razy i dyktowałam do zapisania. Dopiero wtedy zaczęły się normalne noty z biologii. Przy końcu pracy zawodowej to moja metoda sprawdzała się wręcz "idealnie". Zadałam pytanie i - komedia - kazałam odczytać odpowiedź z książki... A ileż napomagałam maturzystom...

Ponad wszystkie satysfakcje zawodowe najmocniej zapamiętałam jedną - dreszczyki radości na pewnej szkolnej uroczystości. Wydarzenie to miało miejsce w początkach lat dziewięćdziesiątych, w ostatnich latach funkcjonowania szkoły jako Studium Nauczycielskiego. Uczniowie pisali obowiązkową pracę dyplomową z wybranego przedmiotu. Do mnie zgłosiła się chyba połowa uczniów tego Studium, ze sto uczennic, by pisać z biologii. Za poprawę każdej pracy płacono nauczycielom sto złotych, więc sporo zarobiłam. Na koniec roku szkolnego nastąpiło uroczyste pożegnanie młodzieży. W auli szkolnej - pełno róż. Do grona profesorskiego podchodziły absolwentki z olbrzymimi bukietami kwiatów. Zaproszeni goście, ci VIP-owcy z województwa, siedzieli w pierwszym rzędzie i patrzyli. Do każdego nauczyciela podchodziło ze cztery, pięć dziewcząt. Profesorowie odbierali kwiaty i szybko znikali. A mnie ciągle proszono do przodu. VIP-owcy podnosili się, chcieli wychodzić, ale uroczystość nie mogła się zakończyć. Cała długa kolejka czekała, by wręczyć mi kwiaty. Goście chrząkali, wiercili się, ale nie wypadało im uciekać. Musieli wytrwać i uczestniczyć w moim triumfie.

Chyba ze trzy wiadra róż przyniesiono mi potem do domu. Patrząc, tyle bukietów, co z nimi zrobić? I jedna myśl przyszła mi do głowy od razu: dostać się z nimi na grób taty. Ale jak? No, to autostopem. Stałam przy ulicy Gdańskiej, ręka do góry! Zabrali mnie do Gdańska. Tam znów... ręka! Dowieźli mnie do Grudziądza. I co, jak dalej? Kręcił się żołnierz jakiś, do Łasina jechał. To niedaleko Jabłonowa i mamy. - Panie, może taksówkę weźmiemy na spółkę? - Zgodził się. Zapadły już ciemności. Pukam do mamy. Mama wystraszona w drzwiach. Wiecheć kwiatów i ja. A rano pojechałam na grób do Brodnicy, pociągiem. Ileż człowiek miał wtedy sił. I jak ten grób ubrałam. W życiu dostawałam zawsze dużo kwiatów.

Prychałyśmy

Mamie coraz mocniej zaczęły dokuczać bóle reumatyczne i zwyrodnienie stawów. Nie mogła chodzić, ktoś powiedział mi w Jabłonowie, że mama potknęła się na schodach.

Trzeba było wymienić biodro. Podjęłam starania w klinice w Gdańsku. Jako setną wpisałam mamę w kolejce do endoprotezy. Na umówioną wizytę wstępną przyjechałyśmy do Gdańska załatwioną przeze mnie karetką. Lekarz przyjął nas, a mama jak to mama, śmieszka, zaczęła o coś rajstopy i nie mogła się ruszyć. Boże, zaczęłyśmy się śmiać. Lekarz nie wiedział, czemu. Poważna sprawa, przyjęcie, a my prychałyśmy. To nam podziękował. Powiedział, że trzeba czekać i zbył. Głupota z naszej strony.

Usłyszałam na korytarzu, że biodra robią też w Dzierżąźnie, w filii kliniki. No to my zaraz tą karetką pojechałyśmy do Dzierżązna. Mówię do mamy: - Teraz

poważnie, pamiętaj. - Przyjął nas ordynator, jakiś czas czekałyśmy na termin.

Gdy mamę położono na oddziale, dojeżdżałam tam co piątek lub sobotę pociągiem przez Kartuzy. Potem ze trzy kilometry pieszo przez pola z dworca w Dzierżążnie. Autobus jeździł raz dziennie, ale nie wtedy, kiedy przyjeżdżałam. Zima, zasy, zawierucha, futro z barana. Ciepło mi było. Z wałówką. I po co, skoro karmili dobrze? Bardzo fajni lekarze, ordynatorowi dałam tylko koniak.

Dochodziłam i zastawałam mamę pełną werwy, non stop rozmawiającą, opowiadającą ciekawie o swoich przeżyciach. Z wianuszkiem słuchaczek. Obok mamy leżała mama mojej uczennicy. Wieść o mojej mamie, jaka to ona towarzyska, radosna, rozniosła się po wszystkich oddziałach. Aż przychodzono ją oglądać... Zrobiłam się nawet zazdrosna o jedną młodą pacjentkę, którą mama zauroczyła swoimi opowieściami.

Z nowym biodrem mama zamieszkała u mnie, zanim wróciła do Jabłonowa. I długo, długo trzymała się dobrze. Ale kolana zaczęły boleć. Podała się. Nie mogła podołać potrzebom osobistym. Stolarz przygotował specjalne siedzenia, postarałam się o stojak. Nie chciała z nim chodzić. Malcowa, sąsiadka mamy, pomagała. Może za mało jej płaciłam? Usługiwała też sąsiadka z czwartego piętra, ale mama nie mogła jej znieść, bo dłuwała w nosie. Bóle niesamowite, jęki, ot, zwyrodnienie stawów.



Mama w 1993 roku

Wiedziałam, że mama pragnęłaby być ze mną. Tylko nie chciała zostawiać mieszkania w Jabłonowie, kochała je. Poszłam na pogotowie w Lęborku, omówiłam co trzeba, załatwiłam karetkę. Ustaliłam, że przyjedzie do Jabłonowa w parę dni po mnie. Musiałam przecież załatwić wszystko, spakować. Zdawałam sobie sprawę, że nie wrócę tam po cokolwiek. Powiedziałam mamie, że pojedzie teraz ze mną na spacer tylko, że jeszcze wróci. W Jabłonowie zostawiałyśmy prawie wszystko oprócz pamiątek rodzinnych. Mama poddawała się, wierzyła mi bezgranicznie. Jechała "na spacer", choć pożegnała się z sąsiadkami i koleżankami, a jedna z pań podarowała jej piękną książkę z dedykacją.

To działo się po Wszystkich Świętych 1994 roku. Przyjechałyśmy pod Lębork, około dwieście czterdzieści kilometrów, a mama: - Tak szybko? - Dobrze się jej jechało. Już rok mieszkałam sama w nowym mieszkaniu przy alei Wolności 14 po rozstaniu z mężem. Poldek zamieszkał u swojej rodziny w Białymstoku. Działał w tamtejszym Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i byłych Więźniów Politycznych. Zmarł na raka w 2006 roku, przeżywszy trochę ponad osiemdziesiąt cztery lata. Byłam na jego pogrzebie w Białymstoku.

Tymczasem mama zaaklimatyzowała się u mnie migiem. Nie mrugnęła

nawet zdziwiona, kiedy zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe zjawili się w Lęborku goście z Jabłonowa. Pewien rzemieślnik zapragnął kupić mieszkanie dla "swojej pani". Weszli oboje. Powiedziałam swoją cenę - osiemnaście tysięcy na dziś. A mama na to: - Oddaj taniej, ta pani taka miła... - Bo spodobali się jej kupcy. Miałam kłócić się o cenę? Mama zdecydowała, ot, szesnaście tysięcy. Wychodziła z założenia, że nam nic nie potrzeba, że ja wszystko mam. I ten rzemieślnik załatwił sprawę bardzo szybko: i podpisy, i notariusza. Rano zawiózł mnie do Jabłonowa, a wieczorem odwiózł.

Mama czuła się u mnie dobrze i tak też ułożyło się nam życie. Fajnie nam było we dwie. Mama śpiewająca, dziękująca, ach, szkoda słów. Te wielkie bóle zostały w Jabłonowie. Bo w Jabłonowie bóle wzmagały się z powodu nerwów, niepokoju, podczas gdy u mnie mama czuła się spokojna, bezpieczna, szczęśliwa. Nieraz pogadaliśmy. Miałam jeszcze lekcje na "wieczorówce". Dyrektor Marek Biały z wicedyrektorką Aleksandrą Kochanowską układali mi je tak, bym mogła uczyć po osiemnastej, kiedy to mama już sobie leżała. Wracalam o dwudziestej pierwszej. Kiedyś zaglądnęłam, czy śpi, a mama: - Żyję, żyję. - I się śmiała. Nie żałowała Jabłonowa. Nigdy.

Była u mnie ponad dwa lata. Organizm zawodził kolejno. Gdy zobaczyła wiśniowy płaszcz skórzany, który kupiłam za nagrodę po czterdziestu latach pracy, powiedziała: - O, jaki popielaty, śliczny płaszcz. - Przestała odróżniać kolory, ale wizyt lekarskich nie wymagała.

Aż nadszedł kryzys w 1997 roku. Diagnoza - woda w płucu. I do szpitala. Powrót. Potem znowu do szpitala. I znowu. Nie było ratunku.

Popatrzyłam na mamę..., a ona zmieniła się w oczach. Kategorycznie. Zadzwoiłam na pogotowie. Krzyczałam: - Śmierć, śmierć. - Momentalnie przyjechał lekarz Kos. Ekipa ratunkowa weszła bez noszy, bo nic nie zrozumiała. Musieli wrócić wszyscy na dół po te nosze. I do szpitala. A do mnie: - Pani musi dojść, bo nie ma miejsca. - Chwycił mnie w tym momencie paraliż z tych nerwów, nie mogłam zejść po schodach. Wysłałam w końcu z domu, ale nie mogłam iść. Podniosłam rękę, a tu żaden samochód nie chciał się zatrzymać. Z tej złości doszłam do światła, zaczepiłam stojące auto. Oj, i ten kierowca podwiózł mnie pod szpital.

Umieścili mamę na sali z umierającymi. Wkurzyłam się. Urządziłam awanturę. Byłam tak zdenerwowana, że Jezu... I przenieśli mamę do słonecznego pokoju. Znaleźli też barierki do łóżka, żeby chora nie spadła.

No i pobiegłam do tej szkoły na lekcje. Latałam: szpital - szkoła. Potem pielęgniarka pilnowała mamę noc i dzień. Lekarze uprzedzali i powtarzali, że mama na krawędzi śmierci, na krawędzi śmierci, na krawędzi śmierci... Zauważyłam moją dawną uczennicę, co wyszła za męża za lekarza. Powiedziałam jej, że to moja mama. Ale nic nie można było zrobić.

Przez ostatnich kilka dni już nie rozmawiała. Jedynie czuła wszystko. Przyjechał z Krakowa mój syn. Powiedziałam mamie: - Januszek przyjechał. - I kiedy on pochylił się przy łóżku, mama szepnęła: - Januszkule, babcia umiera. - Pożegnała się. Nie słyszałam tego. Bo ja ze strachu bałam się pożegnać.

Następnego dnia wstałam o szóstej, umyłam się i poleciałam do szpitala. Mama czekała na mnie. Dopiero po ósmej umarła. Leżała cicho, zasnęła przy mnie. W sali czuwała przy chorym mężu starsza kobieta. Objęła mnie, bym nie rozpacziała. - To Wielkanoc, Wielki Piątek. Pani mama umarła w Wielki Dzień, więc pójdzie do nieba - orzekła.

Mama spoczęła w Brodnicy obok taty. Sporo znajomych zjawilo się na

pogrzebie, poczta wystawiła swój sztandar. Ksiądz pożegnał zmarłą uroczyście, cytując fragmenty wspomnień, spisanych przez mamę. Podsunął mu je mój syn - dziennikarz. I ksiądz czytał o rodzinnym Podolu, o Czerkasach, gdzie mama była jedyną Polką w szkole, o rodzinnej tragedii rewolucyjnej 1917 roku i ucieczce do odrodzonej Polski. Zapytał, czy obecny na pogrzebie sztandar pocztowy, to ten sam, który - na prośbę rodziców - wyhaftowały zaprzyjaźnione z mamą jabłonowskie siostry pasterki. - Tak, ten sam! - odpowiedzieli pocztowcy.

Grób rodziców sąsiadował na cmentarzu z grobem wujostwa Rzeszotarskich, pomnik babci Kazimieri Rabczewskiej znajdował się zaś ciut dalej. Po ekshumacji przeniosłam babcię do grobu wujostwa, by wszyscy leżeli razem tuż obok siebie.

Jak w wielkiej rodzinie

Zwykle działałam w grupie, konsolidowałam środowiska. Pracą i tylko pracą zyskiwałam zaufanie. Praca dla innych była dla mnie akademią życia. Przez całe życie organizowałam różne przedsięwzięcia, wyjazdy czy spotkania. Nauczyłam się współpracy z różnymi ludźmi, doświadczałam ich smutków i radości. Pomagając potrzebującym, miałam okazję stykać się partnersko z ludźmi, wyczulonymi na problemy społeczne.

Pracowałam społecznie zawsze za darmo, co może być dziś niezrozumiałe dla wielu samorządowców i działaczy, niczego nie oczekując w zamian, nie ułatwiając niczego dla siebie. Pracowałam, pracowałam... Bo ja nie umiem siedzieć w domu, pić kawkę i plotkować. Uciekam od tego, to mnie męczy. W Lidze Kobiet i samorządzie mieszkańców czułam się na swoim miejscu, bo żyliśmy tam jak w wielkiej rodzinie. Pomagaliśmy słabym, chorym, starszym, niepełnosprawnym. Malowaliśmy mieszkania, robiliśmy zakupy, sprowadzaliśmy lekarzy, prawników czy młodzież do opieki. Po zmianie ustrojowej 1989 roku chcieliśmy kontynuować nasze spotkania, naszą pracę w siedzibie komitetu osiedlowego mieszkańców przy ulicy Sienkiewicza. Okazało się to nie takie proste i oczywiste, bo władze miejskie, zarządzające pomieszczeniami, nie chciały tam naszej działalności. Z kluczami od lokalu czekałam na jakieś propozycje, rozwiązanie...

Zacząłam prowadzić spotkania na własną rękę. Zbieraliśmy się w gronie seniorów, by podyskutować na różne tematy. Czas pokazał, jak bardzo to było potrzebne. Jako osoba prywatna kontynuowałam tradycję organizacji kobiecej i samorządowej. Jako Anna Sobolewska zapraszałam lekarzy, historyków, prawników, by nam - pokoleniu już niemłodemu - przybliżali sprawy zdrowia czy prawa. Organizowałam występy artystyczne, korzystając z pomocy dzieci i młodzieży szkolnej. I na spotkaniach na Sienkiewicza, na które ludzie skrzykiwali się sami z całego miasta, zaczęli zjawiać się też radni, politycy, przedstawiciele lęborskich władz. Stoły zastawiałam wędlinami, ciastami, które za każdym razem udawało mi się nie bez kłopotów wyprosić u lęborskich piekarzy, cukierników, masarzy i innych moich zacnych sponsorów - biznesmenów.

W gazetach czytałam: *"W świetlicy Samorządu Mieszkańców przy ul. Sienkiewicza niestrudzona działaczka społeczna Anna Sobolewska zorganizowała (...) kolację wigilijną. Prawie setka kobiet zasiadła przy wspólnym stole, przy wspaniałej choince, aby podzielić się opłatkiem (...). Zebrani mieli okazję skosztować wspaniałych śledzi i tradycyjnej smażonej ryby (...). Było ciasto, słodycze, herbata, kawa. Uroczystą kolację uświetnił swoimi występami zespół poetycko - wokalny Mini Belferek z Klubu Nauczyciela"* ("Dziennik Bałtycki", XII

1997).

Notatek prasowych o miłej atmosferze spotkań - przykładowo przy czerwonym barszczu i pasztecie - o recytowaniu wierszy, występach dzieci z przedszkola nr 6, o pomocy młodzieży z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 ukazało się wiele, wiele więcej.

Zapamiętałam nasze ostatnie spotkanie na Sienkiewicza w 2005 roku. Blisko setka biednych, samotnych w większości seniorów zasiadła za stołami z białą kiełbasą, makowcami, sernikami i innymi frykasami. Dla mnie ten tłum stanowił powód do radości. Także obecność zainteresowanych nami przedstawicieli partii politycznych, starosty, dyrektorki przedszkola, zamiast burmistrza jego zastępcy, zespołu artystycznego uczniów mojej szkoły, prezesa koła Sybiraków, dyrektorki biblioteki pedagogicznej, dwóch panów i jednej pani jako artystów - amatorów. Wypowiedzi, kwiaty dla mnie, występy, planowanie wycieczki autokarowej dla seniorów do Zakopanego - po potwierdzeniu dwutysięcznej dotacji z kasy miejskiej na kierowcę i paliwo. Bo cała moja działalność społeczna skupiła się na organizowaniu dla seniorów spotkań z poczęstunkiem oraz wycieczek.

Wycieczki ćwiczyłam od lat i w szkole, i w Lidze Kobiet, miałam je we krwi. Pamiętam wyjazd "ligówek" do zimnego Archangielska w 1988 roku: skanseny, sauny, port i przemysł rybny, brzeg Morza Białego, specjalne gatunki kaczek z puchem, używanym w skafandrach kosmonautów, albo chusty z koziego puchu - a po roku organizowanie przeze mnie rewizyty Rosjanek u nas. Spanie, jedzenie, wożenie, zwiedzanie Trójmiasta. Gdy u wojewody śląskiego Ryszarda Kurylczyka, znanego mi z Lęborka, poczęstowałam te Rosjanki pysznymi, chrupiącymi bułeczkami, to one niczego innego nie chciały jeść, pieczywo zniknęło od razu ze stołu. Umiałam dotrzeć do władz i sponsorów, wszystko miałam załatwione i te kobiety miały jak w raj.

Podobnie starałam się pracować na rzecz "moich" seniorów, przygotowując nasze wycieczki. A uzbierało się ich sporo: niedalekie jak do Trójmiasta z Westerplatte czy na Półwysep Helski, Pojezierze Kaszubskie, trochę dalsze na Mazury z Grunwaldem, potem do Warszawy z Sejmem, Belwederem, Wilanowem, w Pieniny ze spływem, z Wadowicami i Kalwarią Zebrzydowską. W Warszawie spaliśmy na piętrowych łóżkach, żeby zapłacić mniej. Albo wycieczka taką trasą: Kraków z "oknem papieskim" - Zakopane z Gubałówką - Krynica - Łagiewniki - Oświęcim z obozem - Wieliczka z kopalnią soli - Częstochowa - Toruń - Licheń, z pełnym zwiedzaniem wszędzie oczywiście.

Innym razem: *"Ponad pięćdziesięcioosobowa grupa lęborczan uczestniczyła w wycieczce do Częstochowy. Zwiedzili również sanktuarium w Gidlach oraz najciekawsze zabytki Gniezna i Torunia. Wycieczkę zorganizowała Anna Sobolewska (...). Trwająca dwa dni wycieczka była możliwa dzięki licznym sponsorom, którzy m.in. udostępnili autokar, zakupili paliwo oraz zabezpieczyli niezbędne na taką eskapadę środki finansowe"* ("Głos Wybrzeża", 10.06.1999). Częstochowa, Licheń - chyba z pięć razy pojechałam tam z seniorami. Odbyłam wiele wycieczek jednodniowych: do Teatru Muzycznego w Gdyni, do nadmorskich kurortów, do dworców w pobliskich miejscowościach: Prusowie czy Sławutowie ze spacerami po okolicy, do Centrum Edukacji i Promocji Regionu w Szymbarku.

W 2002 roku spotkała mnie wielka radość. Moje panie zgłosiły mnie do plebiscytu "Dziennika Bałtyckiego" pod hasłem "Kobieta Sukcesu". Wygrałam ten plebiscyt. Artykuły, dyplom, wywiady i "Czytelnicy o Annie Sobolewskiej": *"Anna Sobolewska jest naszą ukochaną panią profesor z Liceum Pedagogicznego oraz*

Studium Nauczycielskiego. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, sympatyczna i grzeczna. Nas, uczennice, traktowała jak swoje córki. Zawsze można było się jej zwierzyć oraz uzyskać poradę. Nigdy nie odmówiła pomocy, biegła, załatwiała, współczuła. Uczyła nas biologii, ale też sztuki życia i właściwego postępowania. Cieszyła się z naszych sukcesów. Pani Anna pomaga ludziom od zawsze, najpierw nam, młodym wystrasżonym dziewczynom, teraz ludziom starszym, schorowanym i biednym. Jest bezinteresowna i lubiana przez każdego, kto się z nią zetknął. Prawdziwa kobieta sukcesu! Wdzięczne uczennice".

"Bardzo dziękujemy za zorganizowanie konkursu na kobietę sukcesu, gdyż w ten sposób możemy podziękować i wyrazić uznanie dla Anny Sobolewskiej za to wszystko, co robi dla ludzi biednych, samotnych i starszych. Dzięki pani Ani co miesiąc możemy się spotkać w świetlicy przy ul. Sienkiewicza, porozmawiać ze znajomymi przy kawie, herbacie i słodkościach. Spotkania umilane są występami artystycznymi, nauką śpiewu, rozmowami z ciekawymi ludźmi. Tradycją są też organizowane przez panią Anię spotkania świąteczne i wycieczki. Anna Sobolewska jest naszą nieocenioną "kochaną mamą". Umie pocieszyć, doradzić. Jest kobietą, która według nas zasługuje na miano kobiety sukcesu. Jesteśmy jej całym sercem wdzięczne za poświęcony nam czas i trud. Lucyna Ruchwa" ("Dziennik Bałtycki", 31.05.2002).

Pani Lucyna, moja dawna uczennica, powiedziała mi, że wyrzuciłam ją kiedyś za drzwi w szkole za złe zachowanie... Nie pamiętam tego.

Po tej "Kobiecie Sukcesu" kwiaty, kwiaty... W szkole - to były ostatki mojej pracy pedagogicznej - gratulował mi szczerze dyrektor z gronem nauczycielskim, uczennice i uczniowie śpiewali "Sto lat", słuchali, jak to się dochodzi do takich tytułów. Ponoć wszystkie gazety z artykułem o mnie wykupiono w Lęborku.



"Kobieta Sukcesu" w 2002 roku

Nie inaczej było rok później, kiedy w plebiscycie "Głosu Pomorza" otrzymałam tytuł "Niezapominajki" i srebrną broszkę w kształcie kwiatka z przesłaniem: "Mądre życiową mądrością, dobre dla siebie i innych". Moje panie zaczęły na wycieczkach układać o mnie - kobiecie sukcesu piosenki na melodię "Poszła Karolinka" czy "Cyraneczka": "Ania to nie jest ptak/ Ania to ludzie/ Gdzie inny nie wlezie/ to Ania tam pójdzie/ Sponsora wytrzyma/ zrobi nam wycieczkę/ bo Ania potrafi/ dać smutnym uciechę/ Jak siostra, jak matka/ przygarnia stale nas/ Żyj nam Aniu sto lat/ w Lęborku, perle miast". Dyrektorka Biblioteki Pedagogicznej Jolanta Maderska i inne panie pisały piosenki, a wszystkie inne śpiewały je przy wielu okazjach razem z Januszem Cholewińskim, lęborskim wokalistą basowym, często goszczącym na naszych spotkaniach.

W 2005 roku zostałam "*Homo Popularis*" w plebiscycie "Dziennika Bałtyckiego" - najpopularniejszą osobą w powiecie lęborskim. Gala, statuetka, gratulacje. Na konkurs w gazecie wpłynęło ponad dwa tysiące kuponów ogółem, a w kategorii internetowej - czterdzieści jeden tysięcy głosów. Podkreślono słowa, wypowiedziane przeze mnie: "*Ten tytuł zdobyłam dzięki wam, Czytelnikom. Doceniliście moją pracę społeczną - twierdzi Anna Sobolewska. - Żeby otrzymać takie wyróżnienie, musiałam ciężko pracować, ale opłacało się*" ("Dziennik Bałtycki", 11.03.2005).

Zaskoczył mnie finał tego rozdziału mego życia. W okresie trwania plebiscytu "*Homo Popularis*" władze miejskie rozbiły zamki w siedzibie spotkań przy ulicy Sienkiewicza, wyważyły drzwi i - bez uprzedzenia mnie o zamiarach włamania - w siłowy sposób odebrały mi lokal. Obecnie służy on celom mieszkaniowym.

Szczęście do ludzi

Zawsze miałam szczęście do ludzi. Pomógł mi tym razem Gerard Pawski, znany mi od lat działacz komitetu mieszkańców, prezes lęborskiej Ochotniczej Straży Pożarnej. Uczylałam jego córkę biologii, a potem córkę jego syna. - Nie ma sprawy - powiedział. - Może pani robić spotkania u nas, w sali OSP.

Dużo osób odeszło z naszego grona - głównie z powodu wieku, zdrowia - ale jeszcze więcej przybyło i wciąż przybywa. To nasze największe szczęście. Często ponad setka seniorów zjawia się na spotkaniach - już w Domu Strażaka. Próbujemy wszyscy zachować poczucie dobrego humoru i w każdym wydarzeniu odnajdywać optymistyczne akcenty. Wspólne chwile cieszą, wywołują uśmiechy, bo ludzie starsi czują satysfakcję, że ktoś o nich pamięta. Przy herbatce rozmawiają, dzielą się kłopotami. Mogą liczyć na pomoc czy wsparcie - poza jakąkolwiek strukturą organizacyjną, towarzysko, zwyczajnie "u pani Ani".

Spotkania dzielą na trzy części: merytoryczną, artystyczną i konsumpcyjną. Wymyślam różne tematy edukacyjne: z literatury, medycyny, geografii, historii, psychologii, religii. Przykładowo dyrektorka miejskiej biblioteki publicznej opowiadała na moją prośbę o zwyczajach wielkanocnych, opisanych w literaturze. Raz w roku organizuję spotkania z lekarzami. Ostatnio przybył dyrektor szpitala. Słuchaliśmy o profilaktyce chorób wirusowych czy chorobach kobiecych. Psychologa prosiłam o wypowiedź, jak żyć, by zdrowym być. A z dziedziny fizyki czy historii - Muzeum w Lęborku przybliżyło postać Paula Nipkowa, urodzonego w Lęborku prekursora telewizji. Zaproszeni posłowie z naszego terenu relacjonują prace na temat bieżących ustaw. Wiele razy gościliśmy posłankę Izabelę Jarugę - Nowacką, która dwukrotnie wspomogła nas finansowo tysiącłotowym datkiem, czy posłankę Jolantę Szczypińską, a poseł Tadeusz Cymański nie tylko wręczał mi kwiaty we flesztach gazet, ale jeszcze śpiewał "Hej, sokoły" i inne pieśni z chórem "Kwiaty Jesieni" z Chocielewka.

Części artystyczne nawiązują do Dnia Matki czy Dnia Kobiet, bożonarodzeniowych lub wielkanocnych świąt. Ale nie tylko. Przykładowo zespół uczniów LO nr 2 wystąpił z inscenizacją poetycko - muzyczną o życiu człowieka, miłości oraz o papieżu - Polaku. Kiedy indziej zaprezentowano parafrazę "Kopciuszka" w akompaniamencie gitarowym, a uczennice z Zespołu Szkół nr 3 przygotowały recytację najpiękniejszych listów króla Sobieskiego do Marysienki. Trudno wymienić wszystko, najłatwiej przypominać to, co zachowuje się w

wycinkach prasowych: *"Comiesięczne spotkanie u działaczki społecznej Anny Sobolewskiej odbyło się w nietypowym miejscu. Tym razem pani Ania zaprosiła mieszkańców miasta do Państwowej Szkoły Muzycznej na prawie dwugodzinny popis teatralny i wokalny (...). Teatr FOR-MA z Młodzieżowego Domu Kultury przedstawił sparodiowaną parafrazę Szekspirowskiego "Makbeta" (..) ku przestrodze: Nie lekceważ wroga"* ("Dziennik Bałtycki", 16.03.2007).

"Przybyły delegacje z domów pomocy społecznej nr 1 i 2. Wśród ponad 160 osób jak zwykle przeważały panie. Do nich życzenia skierowali przedstawiciele władzy: posłanki Izabela Jaruga - Nowacka i Jolanta Szczypińska, poseł Witold Namyślak, starosta i burmistrz. Sobolewska przypomniła fakty z historii walki kobiet o równouprawnienie i różne anegdotyczne wydarzenia ze swojej długoletniej działalności. - Jeśli jest wzór kobiety wspaniałej i skutecznej, to jest nią pani Ania - stwierdziła Jaruga - Nowacka. - Należy do tych, którzy zawsze mają coś do zrobienia" ("Dziennik Bałtycki", 14.03.2008).

O jakich wydarzeniach anegdotycznych mowa? Może chodziło mi wtedy o wypowiedź sprzed trzech lat, podsumowującą moją działalność: *"Myślę, że mogę pozwolić sobie nawet na porównanie pani Ani do Matki Teresy - stwierdził Piotr Gontarek, radny powiatowy"* ("Dziennik Bałtycki", 17.02.2005).

Trzeci punkt moich spotkań - to konsumpcja. W miarę sił organizacyjnych i życzliwości sponsorów - jak najbogatsza. Z nieustającym dylematem: co zrobić, by pączków starczyło dla wszystkich i nikt ich ukradkiem nie wyniósł ponad miarę do domu. By nie zabrakło środków... Nasza skarbniczka Marianna Ilnicka zbiera od uczestników spotkań każdorazowo po jednej złotówce na kawę czy herbatę.

Wycieczki społeczne

Zastanawiałam się, jak łączyć finansowy koniec z końcem. Jakim sposobem? Jeszcze w 2001 roku rozwiązanie problemu finansowania działalności społecznej podsunął mi Paweł Kasprzyk, wtedy radny sejmiku pomorskiego, były poseł, goszczący często na moich spotkaniach. Zaproponował, bym założyła jakieś stowarzyszenie. Wy tłumaczył, że dzięki temu otrzymam granty z Urzędu Miasta: - Zawsze dostaniesz parę groszy na pracę społeczną - mówił mi na "ty". - Na przykład załóż taki Klub Demokratycznej Unii Kobiet...

I ja to przyjąłem. Pojechałam do Słupska i zarejestrowałam. Dzięki temu mogę wchodzić w konkursy w starostwie na pomoc dla stowarzyszeń. Kiedyś tych stowarzyszeń było niewiele, teraz jest ich z dwieście. Początkowo niektóre stowarzyszenia dostawały wiele tysięcy złotych, a mnie zostawały ochłapy, kilkaset złotych na wycieczki, na rehabilitację dla ludzi starszych. Dużo biurokracji przy tym. Dużo wypisywania. Ale z czasem nabrałam wprawy przy wypełnianiu ofert, zdobyłam sobie przyjaciół w starostwie. Dziś latam po tych piętrach, by zdążyć z terminem na komisję konkursową, wypełniam. Te panienki mi ułatwiają, pomagają. Czasem im czekoladę przyniosę, kiedyś pączki. Któregoś roku tak mi pomogły, że dostałam blisko pięć tysięcy złotych na benzynę. Bo tam trzeba wszystko podać, punkty konkursowe zdobyć.

Pieniądze trafiają na konto stowarzyszenia, a potem od razu co do grosza na konto autokarzysty. Wszyscy wiedzą, że ja z tego nic nie mam. On mi musi donieść fakturę, którą składam w starostwie ze spisem uczestników wycieczki: numery dowodów, pesele, adresy, etc. Do tego dołączam sprawozdanie z podróży. Podaję, jakie zyskałam efekty zdrowotne. Że moim seniorom poprawił się po wycieczce stan

zdrowia.

Ale przecież koszt przejazdu kosztuje nie pięć, lecz z osiem tysięcy złotych i więcej. Pozostałe pieniądze zdobywam u burmistrza. Tego czy owego. Wyczuwam szacunek burmistrzów dla mojej osoby. Kiedyś burmistrz Włodzimierz Klata, kiedy nie mógł przyjść na spotkanie, to wypisywał życzliwe "poezje" do mnie, a ja je odczytywałam seniorom na forum. Burmistrza Witolda Namysłaka proszę przykładowo o sześć tysięcy złotych, ale on mi daje cztery. Jedną z pań doniosła mi: - Pani Aniu, pani z tych stowarzyszeń dostała najwięcej, cztery tysiące, o Boże! - To najlepszy dowód, jakim cieszę się szacunkiem.

Korzystam jeszcze z życzliwości jednego mego sponsora, budującego drogi, którego matka uczestniczyła w moich spotkaniach. On mi pomagał. Zadzwoiłam: - Panie Wiesiu... - I miałam wycieczkę dopiętą.

A ileż ja się nazałatwiam, narozmawiam. Potem to cały dzień mogę siedzieć w domu. Jestem szczęśliwa, że się nagadam, że pójde do urzędu, wymienię parę zdań. Mnie to buduje. Muszę ubrać się jakoś, uczesać, aby odpowiednio wyglądać w moim wieku. Tylko te bolące nogi. Gdyby nie to, fruwałabym sobie. Wstyd mi, że coraz gorzej chodzę, że ktoś się temu przygląda.

Pierwsza zagraniczna

Zadałam sobie pytanie: a czemuż by nie organizować wycieczek zagranicznych dla uczestników spotkań "u pani Ani"? Jakaż to byłaby dla nich atrakcja, jakie wrażenia. Doszłam do wniosku, że przy okazji organizacji takich wycieczek będę mogła podzielić się z ludźmi częścią tych radości i przeżyć, jakie miałam okazję wynieść sama z własnych, prywatnych podróży (wspomnę je szczegółowiej trochę później).

Na pierwszy ogień poszła Praga w 2006 roku, z bazą noclegową w Kotlinie Kłodzkiej. Metro, knedliczki. Trasa wiodła przez Wrocław ze wspaniałą Panoramą Raclawicką.

Potem Wilno w 2007 roku. Podróż śladami wielkich Polaków. Zabytki, eksponaty, zamek w Trokach i cmentarz Na Rossie.

Po tej wycieczce na spotkaniu u mnie, czyli "u pani Ani", pojawił się w wojewoda pomorski Piotr Karczewski i wręczył mi Medal *Sint Sua Praemia Laudi* ("Niech chwała ma swoją nagrodę") za całokształt działalności. Padło mnóstwo serdecznych słów od władz miasta i parlamentarzystów, zabrzmiały też ich śpiewy biesiadne z seniorami przy akordeonie i chórze "Kwiaty Jesieni". Wszystko na cześć moich chwał!

W 2008 roku - Lwów. Mnóstwo ludzi chciało zobaczyć cmentarz Łyczakowski i Orląt Lwowskich, kościoły, pałace, gmachy. Po tej wycieczce ukazał się całostronicowy artykuł w prasie: *"Dwa autokary wypełnili seniorzy z Lęborka, którzy postanowili zwiedzić Lwów. Do wycieczki przygotowywała ich dużo wcześniej Anna Sobolewska, organizatorka i działaczka społeczna. Były spotkania z rodowitymi lwowiakami i opowieści o mieście (...). Koniecznie chcieliśmy z mężem skonfrontować to, co o Lwowie słyszeliśmy z tym, co sami zobaczymy - mówi Bożena Klinkosz, lęborszanka (...). - Wycieczka nasza, jak każda poprzednia, nie odbyłaby się, gdyby nie zrozumienie i pomoc władz miasta, powiatu i sponsorów - stwierdza Sobolewska. - Dziękuję wszystkim. Wiadomo, że bywalcami moich spotkań są w znakomitej większości ludzie starsi, mający tylko emerytury czy renty. Ludzie, których nie na wiele stać. Dlatego dla nich organizuję od lat doroczne wycieczki*

rekreacyjne, najchętniej do miejscowości uzdrowiskowych z wodami leczniczymi. Tym razem proszono mnie o Lwów z powodów patriotycznych i sentymentalnych, jak również religijnych (...). Kierowcy obliczyli, że autokar pokonał 1640 km tam i z powrotem i 100 po mieście" (Iwona Ptasieńska, "Dziennik Bałtycki", 2.05.2008).

Miesiąc później dostałam Medal św. Jakuba - patrona Łęborka, przyznawany przez Burmistrza Miasta Łęborka - jako osoba zasłużona dla miasta.

W 2009 roku pojechaliśmy na Węgry. Zabytki Budapesztu, Dunaj, źródła termalne. Eger z winnymi piwnicami.

To niby tak samo z siebie wyszło, że raz w roku udawało mi się zorganizować poważną wycieczkę. Jedną wycieczkę zagraniczną, ponadto wycieczkę jednodniową gdzieś bliżej. Dawałam radę!



Z moimi seniorami w dworcu w Prusewiewie w 2009 roku; stoję w białej czapce

W 2010 roku pojechaliśmy do Niemiec trasą: Szczecin - Berlin - Poczdam - Lipsk - Drezno - Miśnia - Gubin - Poznań. Moje myślenie organizacyjne przebiega przy takich okazjach następująco. Zastanawiam się wpierw, "gdzie ja ich zawiozę". Do Wenecji, do Rzymu? Nie, nie zawiozę, za drogo. No i wymyślam. Bo ja się nie pytam nikogo, dokąd jechać. Ja ogłaszam: w tym roku Niemcy! Przykładowo. Przeszłam się po sali, zapisałam nazwiska. Mąż, żona, mąż, żona... Dobiłam listę do czterdziestu ośmiu chętnych, bo autokar liczy czterdzieści dziewięć miejsc zwykle. W ciszy i porządku. U mnie musi być dyscyplina i na spotkaniach, i na wycieczkach. Nie hałasujemy, słuchamy, co kto mówi. Przydzielam miejsca w autokarze, kto gdzie siedzi, by nie było bałaganu. Na wyjazd staram się załatwić u sponsorów puszki mięsne, pączki, drożdżówki, owoce, wodę mineralną. Każdy uczestnik wycieczki otrzymuje ode mnie szczegółową informację o kosztach, trasie, liczbie kilometrów do przejechania, miejscach noclegów, ilości przewodników, godzinie wyjazdu i przyjazdu.

Zacząłam szukać pomocy językowej. Burmistrz Klata wskazał na wydział promocji miasta. Jakiś starszy pan polecił mi biuro turystyczne z wygodnym autokarem. Zadzwoniłam, właściciel biura przyjechał do mnie do domu. Podpisał umowę wstępną w przedpokoju, bo dalej nie wpuściłam go w butach. Kto by potem sprzątał po nim? Ten starszy pan podsunął mi jeszcze przewodniczkę, ale nie miałam pieniędzy, żeby ją opłacać.

Pani z promocji wiele wniosła: telefony, komputer - tylko pytała, czy mi to odpowiada. I tak szło, jeśli akceptowałam. Na święta zorganizowaliśmy paczkę dla jej dziecka, jakieś skarpetki, sweterki, nowe piżamki od sponsora - z pomagającą mi bardzo Lucyną Ruchwą.

No i pojechaliśmy. Wyszło pięćset złotych na osobę, ponieważ seniorzy płacą tylko za noclegi, posiłki, bilety wstępu do muzeów. Autokar kosztował osiem i pół tysiąca. Byliśmy przy Murze, wszędzie. XXI wiek. Oni nie remontują starych domów, budują nowe. Mocno się zmęczyłam. Dwie noce w Berlinie. Rano pobudka i do Lipska. W hotelach wynajęci przewodnicy. Rzeczy osobiste w autokarze. Potem hotel. Jeden nocleg w Lipsku. To samo w Dreźnie.

Wiek moich pań zaawansowany jak mój. Też je nogi bolą. Ja trzymam się tak pośrodku, nie ostatnia. Sporo problemów indywidualnych wynika na wycieczkach. Trochę mężczyzn jest z nami, są małżeństwa. Zabieram też kaszubski zespół "Levino" w strojach ludowych. Rezerwuję dla "Levina" sześć miejsc z góry, by zespół promował Łębork w kraju i zagranicą.



We Lwowie w 2008 roku - z nami kaszubski zespół "Levino". Przy mnie od lewej: Wacława Burzyńska, Maria Sobisz i Lucyna Ruchwa

W 2011 roku wyruszyliśmy do Brukseli. W Parlamencie Europejskim przyjmował nas eurodeputowany Jarosław Wałęsa. Bazyliki, pałace, parki. Wszędzie chodziłam... Zwiedziliśmy też Brugię z licznymi kanałami.

Po wycieczce moje panie dowiedziały się o honorowym wyróżnieniu Rady Miasta Łęborka "Łęborski Lew" i zgłosiły mnie do tej nagrody. Bo - jak napisały we wniosku - w Parlamencie Europejskim zespół "Levino" dał występ, promował pieśni kaszubskie, stroje, flagę Łęborka i Kaszub, herb miasta oraz zachęcał do przyjazdu do Łęborka. A ja - orzekły - jestem osobą cenioną i popularną. Jako nominowana otrzymałam dyplom i lwa pluszowego, owiniętego białą wstążką ze znaczkiem powiatu łęborskiego.



Z Cecylią Woźniakowską, moją zastępczynią w Klubie Demokratycznej Unii Kobiet, oraz od lewej z Genowefą Seweryńską, Julią Szczytko, Anną Gozdek

Podróże indywidualne

Kiedy sięgnę tylko pamięcią, lubiłam wyjazdy. I te szkolne z młodzieżą w różne zakątki kraju, i te społeczne. Oraz rodzinne. Gdy z mężem dorobiliśmy się samochodu, co roku gdzieś wyjeżdżaliśmy. Najczęściej w towarzystwie dwóch rodzin z samochodami. My w trójkę: mąż, syn i ja jechaliśmy moskwiczem, czteroosobowa rodzina Gronków - syrenką, a rodzina Kuligów - skodą. W latach sześćdziesiątych przemierzaliśmy Polskę wszerz i wzdłuż, i jeszcze na skos. Ileż w tym było przygód ze znajdowaniem dzikich miejsc pod namioty w Bieszczadach, z rozpalaniem ognisk przy Puszczy Białowieskiej, z awariami syrenki... na wzniesieniach przed Zakopanem. Zwieńczeniem stał się nasz wspólny wyjazd do Bułgarii w 1966 roku, pierwszy zagraniczny, i to od razu przez tak wiele państw "demokracji ludowej".

Kiedys i ja wsiadłam za kierownicę po zrobieniu prawa jazdy, ale wjechałam w nasz murowany garaż na podwórzu. Syn, siedzący z tyłu, zranił się w kolano od uderzenia, a ja wyskoczyłam z uszkodzonego auta, zostawiłam wszystko i pobiegłam przerażona do domu. Potem jeździłam jeszcze jakiś krótki czas z synem i mamą do Łeby, ale oni tak przeżywali moją jazdę, że nie mogli oderwać oczu od drogi.

Do pasji podróżowania wróciłam na dobre po śmierci mamy. Objechałam z biurem podróży omalże pół świata. Ileż wrażeń... Potrzebowałamby miesięcy na ich opowiedzenie. Dzieła sztuki, architektury, kontakt w wielowiekowymi kulturami i historią, najpiękniejsze zakątki przyrody, miasta, morza, rzeki, góry. Uff! Że też miałam tyle sił. Całymi dniami chodziłam, dawałam radę. Pamiętam zadyszkę przy wspinaniu się do trzeciej strażnicy Wielkiego Muru w Chinach. I tego Araba, który skoczył - z pokładu statku do Morza Czerwonego - po mój kapelusz, zdmuchnięty przez wiatr... I sprzedawcę na ateńskiej Omonii, umiejącego tak zgrabnie zwinąć futro z nerek za pięćset pięćdziesiąt dolarów, że zmieściło się mi ono do torebki. Po zejściu z wieży Eiffla zgubiłam autokar. Najadłam się strachu, ale znalazłam plac Pigalle, kabaret Moulin Rouge. Biegiem leciałam, by to wszystko zobaczyć, trzymając mocno torebkę w dzielnicy arabskiej. Każdą wycieczkę mam opisaną, obfotografowaną. Wszystko widziałam, wszędzie byłam. Gdzie tylko mogłam.

W lipcu 1997 roku pojechałam do Włoch, wróciłam. I po tygodniu ruszyłam do Francji. Wymienię jedynie hasłowo: Rzym cały, muzea watykańskie, audiencja u papieża - Polaka na Placu św. Piotra i śpiewające mu "Poznańskie Słowiki", smak "granity", Monte Cassino, gondolą po Canal Grande, Santa Maria del Fiore, Asyż, z Neapolu promem na Capri i inne atrakcje. Wiedeń, "prawdziwy tort Sachera". A potem Paryż nocą, muzeum perfum i Orsay, Luwr i Mona Lisa, Wersal, statkiem po Sekwanie, słynne cmentarze, Sacre Coeur, nowoczesna La Défense, etc. Wszystkiego nie da się tu opisać ani wymienić.

W następnym roku - Grecja. Gaje oliwne, morza, Meteory, wieczorne tawerny i to wszystko, co w mitach i podręcznikach starożytności od Delf po Nafplion, od Ateny po Apollina, od Partenonu po Korynt, zapach pomarańczy i współlokatorka w pokoju hotelowym, która o czwartej rano siadała na balkonie w futrze, by się nacieszyć jego zakupem.

W 1998 roku - Hiszpania. Katedry Barcelony i balkony Gaudiego, Sagrada Familia i Las Ramblas, Madryt z Prado i Bramą Słońca, z El Greco w Toledo, ogrody alkazaru w Kordobie, statkiem po Guadalquivir z Sewilli, Granada i wiele innych miejsc. Po drodze choćby Praga, Lyon z Bellecour, Szwajcaria z Charean de

Chillon, czekolady i sery w Lozannie akurat w "święto piwa".

W kolejnym roku - Egipt. Z Kairu do Abu Simbel i Synaju, grobowce i mumie faraonów, piramidy. Do Asuanu w pociągu z termosami ze srebra. Statkiem przez Kanał Sueski i po Nilu. Łodzią podwodną "Sindbad" dwadzieścia metrów pod wodą na wyspę Giftun. Show "bum - bum" w wiosce nubijskiej. Mityczna starożytność Luksoru i rafineria ropy w Aleksandrii, kolosy Memnona w Tebach Zachodnich i wytwórnia alabastru po Dolinie Królów. Mogłabym opowiadać i opowiadać... Świątynie bogów: Amona, Izydy, Horusa, etc., wanna Kleopatry oraz wszechobecna ochrona policyjna przed potencjalnymi terrorystami. Rejs i plażowanie na rafach koralowych Morza Czerwonego - to tam wiaterek porwał mi kapelusz, a Arab z ochrony skoczył po niego ze statku do wody. Wyłowił, ależ była sensacja!



Świątynia w Edfu, Egipt, 1999 rok

W 2000 roku przebój, czyli Chiny. W Pekinie m.in. świątynie Lamy i Konfucjusza, Zakazane Miasto. Wielki Mur Chiński. Grobowce chińskich dynastii, Świątynia Niebios, pociągiem do Hohhot i pustynia Gobi, nocleg w jurtach Mongolii Wewnętrznej. Świątynia Dazhao i Pięciu Pagód, w drodze do Pingyao - Wisząca Świątynia i Pałac Rodziny Qiao, pociągiem do Xi'an w sercu "jedwabnego szlaku", terakotowa armia w grobowcu cesarza Qin Shi. Pociągiem do Luoyang ze Świątynią Białego Konia i pobliskim klasztorem Shaolin. Przyroda, widoki, jaskinie Longmen. Odmienność kulturowa; pierogi z glonami, makaron jak frytki, koniecznie z sosem, choć chciałam bez niego. Blichtr hoteli i - przez ulicę - slumsy pekińskie z ludźmi, koczującymi na gołej ziemi. Portret Mao Zedonga na placu Tiananmen, a w operze sztuka "San-Cha-Kou", czyli "U zbiegu trzech dróg". Że też dałam radę nadażać za przewodnikiem z żółtą chorągiewką...

W następnym roku - kraje skandynawskie. W Kopenhadze Pałac Amalienborg i inne zabytki, Stary Port, i wikingowie, i Andersen plus Hamlet, w Sztokholmie Fjällgatan, Wyspa Rycerska, Sala Komnat Królewskich i Muzeum Nobla, etc., opery i ogrody, jezioro Wener, łosie, kotlet z renifera i Królowa Śniegu, Uppsala, Karlstad i do Oslo, Park Vigeland, pałace, katedry, obraz "Krzyk" Muncha, fiord Tyrifjord i dziewicze jezioro Kroderen, kanapki z łososiem i Bergen, wodospady, przepaście, sto czternaście przejechanych tuneli, mnóstwo wrażeń, lodowce, całodzienna jazda w fiordach, dwugodzinny rejs statkiem z kubkiem

gorącej czekolady za piętnaście koron.



Xi'an, Chiny, 2000 rok. Wodospady Latefoss, Norwegia, 2001 rok

W 2002 roku - Wielka Brytania. Kanał La Manche (po nim i pod nim), w Londynie - Tower i wszystkie inne popularne punkty turystyczne, oczywiście traktem królewskim, statkiem po Tamizie i Stratford z Szekspirem, Warwick, Coventry, Cambridge, katedra York Minster, mur Hadriana i Szkocja z głównymi miastami, stuartowski Pałac Holyroodhouse, muzea, destylarnia whisky, parki, High Kirk of St. Giles, jezioro Loch Ness, etc., wiele różnych miast i Północna Walia z Celtami, zamkiem w Conwy, i Colwyn Bay z Morzem Irlandzkim.

Pojechałam jeszcze do Chorwacji w 2004 roku. Spacer po słoweńskiej Lublanie, Jaskinia Postojna, statkiem przez Adriatyk, Istria, Park Plitwicki, historyczny Dubrownik, cesarz Dioklecjan w dalmackim Splicie, etc., sporo miejscowości, Podgora, Seget, port w Trogirze, rakija w Babin Potoku, Krka, riwiera i suszone figi, ryb ile się chciało i muzyka na statku do rana. To moja ostatnia indywidualna wycieczka. W drodze powrotnej zauważyłam, że autokar zjeżdża na boki. Noc, trzysta kilometrów do Gdańska. A ludzie spali... Wstałam i w krzyk. Kierowcy zignorowali mnie, ale nie darowałam. - Proszę stanąć! - nakazałam kategorycznie. W końcu stanęli po stu kilometrach... I coś było złego, coś znaleźli. Dowieziono nas do Gdańska taksówkami. Doczekałam się przeprosin z biura podróży. Może uratowałam życie sobie i innym?

Ach, te moje wycieczki. Jestem szczęśliwa i dumna z siebie, że się na nie zdobyłam. Zaglądam do teczek ze zdjęciami, notatkami i po godzinie znajduję to, co chcę. Tyle przejechałam, tyle widziałam, coś pięknego, Boże, ile ja mam do opowiadania. A nie mam komu. Kilkakrotnie przedstawiałam moim seniorom na spotkaniach swoje wrażenia z Chin czy Egiptu. Teraz Włochy muszę sobie przypomnieć. A z Francji jakie zdjęcia..., gdzież ja bym dziś tam weszła... Takie bogactwo, wiedza, bym opowiadała i opowiadała.

Perła

Od wielu już lat wyjeżdżam na długo do Krynicy - Zdroju. Uzdrowisko to stało się moim wakacyjnym miejscem na ziemi. Spędzam tam rokrocznie lipiec i sierpień. Spotykam znajomych i przyjaciół.



W Krynicy - Zdroju

Zacząło się od roku osiemdziesiątego, kiedy to przeszłam ciężką operację urologiczną w Krakowie. Dostałam zalecenie picia wód leczniczych właśnie w Krynicy. Potem starałam się o skierowania sanatoryjne właśnie tam. Oczywiście w międzyczasie trafiały się skierowania do innych miejscowości, przykładowo Szczawna, Polańczyka, Ciechocinka, Żegiestowa, Połczyna czy Kołobrzegu, niemniej jednak krynicka woda i powietrze odpowiadało mi najbardziej. Przez początkowe lata zatrzymywałam się w Krynicy w domach Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ulicy Leśnej i Pułaskiego, ale też w "Nowych Łazienkach", "Starym Domu Zdrojowym", "Małopolance" i innych. Kiedy w 2003 roku wszczepiono mi w Krakowie endoprotezę biodra, zatrzymałam się w "Kasztelance". W Krynicy - w szpitalu - byłam na zabiegu ginekologicznym... I żeby wyczerpać tematy szpitalne, wyliczę tu kilka operacji w Lęborku z lat 1998 - 2010, choćby ginekologiczną i endokrynologiczną.

Dla mnie Krynica to perła uzdrowisk. Przez wiele lat urzekała mnie swoją atmosferą, spacerującymi kuracjuszkami w wielkich kapeluszach, panami w białych garniturach, festiwalem im. Jana Kiepur i prowadzącym go Bogusławem Kaczyńskim, którego można było spotkać na lodach w pensjonacie "Wisła". W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych biegałam po tej Krynicy wszędzie: od pijalni do pijalni, od "Ogniska" ZNP na Leśnej, zamykanego na klucz po dwudziestej drugiej, do "Piekiełka" w domu "Patria" Kiepur o piątej na "fajfy". Czyli woda lecznicza i dancingi... Panowie wracali do sanatorium przez okna...

Miałam partnera na spacer i dancingi Jana Stafisza z Jeleniej Góry, który zadziałał niczym katalizator mojego małżeństwa. Sporo się naspacerowaliśmy. Gościłam go nawet w Lęborku. Jak można określić stosunki między nami? Żartobliwie. I między nami, i na zewnątrz nas. Nie prostowaliśmy, gdy w Krynicy brano nas za małżeństwo. Któregoś roku przyjechałam wcześniej. - Gdzie mąż? - zapytała znajoma właścicielka domu na Leśnej. - Umarł - odpowiedziałam. Potem Jan opowiedział mi, co było, kiedy ujrzał tę panią na ulicy. Kobieta zbladła, omalże zemdlą.

Nie tylko ja zakochałam się w Krynicy i przyjeżdżam tam co roku. Wiele moich przyjaciółek czyni podobnie.



W Krynicy w 2012 roku z moimi "kryniczankami": od lewej z Anną Kozioł z Wrocławia i Jolą Kunicką z Gorzowa. Obok z Janiną Kostałkowską, była szefową sanatoriów, zasłużoną obywatelką Krynicy

W Krynicy mam mnóstwo znajomych, jestem rozpoznawalna. Kiedy przyjeżdżam, to w pijalni "Jan" czekają już na mnie wiadomości, która z pań jest i gdzie będzie na mnie czekać, a która już była i wyjechała.

Od 2005 roku rokrocznie zatrzymuję się w Domu Św. Elżbiety, prowadzonym przez siostry elżbietanki. Czuję się u nich jak w raju, otoczona wspianą opieką, serdecznością. Siostry czekają na mnie od początku lata. Jeślibym nie przyjechała, byłyby zawiedzione. Więc przyjeżdżam na bite dwa miesiące. Oddycham wspianym leśnym powietrzem, przedpołudniami spaceruję z kijkami *nordic walking* - które służą mi od trzech lat już i w Lęborku - piękną ścieżką, biegnącą z boczem Góry Parkowej od domu sióstr na Pułaskiego do pijalni wody "Jan". Dalej już nie radzę. Dziś to co parę metrów przysiadam na ławeczce, by odpocząć. Odwiedza mnie też tu najdroższa mi osoba - syn, któremu z Krakowa blisko, i razem spacerujemy od ławeczki do ławeczki. Wspominamy dawne czasy, jego dziennikarstwo i moje społecznikostwo. Śmiejemy się, że choć opuścił Lębork przed czterdziestu laty, to jego, a nie mnie, zaliczono w internetowej encyklopedii do ludzi jakoby znaczących dla Lęborka.



W Krynicy z synem w 2006 roku

"I chwala pani Ani, że je robi!"

Moja osoba ogniskuje pozytywne emocje. Czuję to. Czy może być coś ważniejszego, bardziej mnie satysfakcjonującego? Przecież nawet nie ten Krzyż

Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski sprzed tak wielu lat za pracę społeczną, przecież nie różne "Kobiety Sukcesu", "Niezapominajki", "Homo Popularis", "Sint Sua Praemia Laudi"... To oczywiste, że ponad wszystkie nagrody cenię ludzką życzliwość, z którą stykam się na każdym kroku.

Cieszę się z opinii ludzi. Nikt im nie każe wypowiadać słów, zapadających w serce. Na co dzień ludzie przekazują mi wiele serdeczności. Mówili i mówią o mnie i o mojej pracy. Nie powinnam się chyba dziwić, że wypowiadających superlatywy pod moim adresem widać potem w telewizyjnym "Kanale 6" - w programie informacyjnym "Fakty Dnia" Telewizji Kablowej Słupsk, skoro kamera telewizyjna gościła często "u pani Ani".

Przykładowo, w skrócie - "Wigilia u pani Ani": *"Liczna grupa łęborczan i powiatu wejherowskiego uczestniczyła w spotkaniu wigilijnym, zorganizowanym przez lokalną działaczkę społeczną Annę Sobolewską (...). Uczestniczki spotkania: - To takie bardzo miłe. Spotykamy się tutaj z naszymi przyjaciółmi, mamy okazję. Nie zawsze w domu jest to możliwe. - Bardzo chętnie tu przychodzę. Nie tylko ja, jak widać jest nas tutaj ponad setka. Nigdzie się nie spotkałam, by spotkania były tak liczne jak u pani Ani. - Spotkania pozwalają na zbudowanie wyjątkowych więzi międzyludzkich. - Regina Majewska z zespołu kaszubskiego "Levino": - Uczestniczymy w spotkaniach. Często występujemy jako zespół. - Uczestniczka spotkania: - U pani Ani? No, że w towarzystwie, w gronie, w rodzinie człowiek się tu czuje. Pani Ania organizuje wycieczki, wszystkich jednakowo traktuje, jest jako organizatorka super, w życiu nie znajdziemy drugiej takiej jak ona" ("Fakty Dnia", 15.12.2010).*

"Spotkanie u pani Ani": *"- Ja myślę, że te spotkania są bardzo potrzebne. Przychodzi dużo starszych ludzi, z różnych środowisk, chętnie się spotykają, chętnie rozmawiają, ale i młodzież występuje, i dzieci. Możemy opowiadać tym ludziom, co robimy ciekawego w mieście. Widać, że są bardzo zainteresowani działaniami Urzędu Miasta. Ja myślę, że spotkania są fajne. I chwała pani Ani, że je robi! - Alicja Zajączkowska, wiceburmistrz Łęborka" ("Fakty Dnia", 20.04.2011).*

"Seniorzy w parlamencie": *"Uczestnicy wycieczki opowiedzieli o swojej podróży do Brukseli. Jak podkreśla organizatorka przedsięwzięcia to prawdopodobnie ostatni wyjazd zagraniczny z seniorami. Anna Sobolewska: - Wspaniała rodzina się wytworzyła. Ja tak tylko mówię, że to ostatnia wycieczka, bo mnie to działanie bardzo dużo kosztuje wysiłku fizycznego i w ogóle tego dialogu ze wszystkimi, żeby dużo osób było na wycieczce. Bo wiek jest taki, że ludzie chorują i żeby dotrzeć do końca i przejść tę wycieczkę... To naprawdę sukces tych ludzi. Dla mnie jest to bardzo trudne" ("Fakty Dnia", 27.06.2011).*

"Przedświąteczne spotkanie": *"Dorota, uczestniczka spotkania: - Te spotkania wydają mi się bardzo pięknie zorganizowane przez panią Anię. Chętnie tutaj przychodzę. Bardzo chętnie się spotykamy, wspieramy się czasem. Są tutaj ludzie chorzy, z różnych środowisk, z domów starców, ale my jakoś wspólnie wspieramy się. Te spotkania nas podbudowują. - Barbara, uczestniczka spotkania: - Bardzo chętnie się spotykamy, jest ciekawie, są zawsze zaproszeni goście. Jest po prostu miło. - Kazimierz, uczestnik spotkania: - Ja już drugi rok przychodzę. Jest bardzo ładnie, wszystko jest w porządku. Ładne są panie, to jest najważniejsze. - To jest taka odskocznia od codziennego życia.*

Zachariasz Frącek, miejski radny: - Pani Ania jest takim dobrym duchem, który i rozwesela i który przemawia do tych ludzi. I przede wszystkim tych ludzi integruje. - Marcin Milczewski, miejski radny: - Uważam, że inicjatywa takich

spotkań jest bardzo ważna. Tu przedstawiane są problemy, które dotyczą tych ludzi bezpośrednio jako mieszkańców miasta" ("Fakty Dnia", 14.12.2011).

"Spotkanie seniora": "Zachariasz Frącek, radny: - Ze starszymi ludźmi warto porozmawiać, bo starszy człowiek ma tak wielkie doświadczenie, że my, młodzi, możemy tylko słuchać. - Marcin Milczewski, radny: - Bardzo mnie cieszy, że dla tych osób tutaj zgromadzonych to życie cały czas trwa i cały czas wymyślają jakieś ciekawe zajęcia dla siebie. - Tadeusz Suweźda, zespół "Emeryton": - Kobiety nie zawsze mają okazję się spotkać. Więc my chcemy to święto uroczysto uświetnić" ("Fakty Dnia", 9.03.2012).

W "Kanał 6" szczególnie cieszą mnie relacje, pokazujące na telewizyjnym ekranie suto zastawione stoły. Bo ileż ja się muszę za tym dostatkami nabiegać.

The screenshot shows a news article from 'Kanał 6' dated Tuesday, December 18, 2012. The article is titled 'Wigilia u pani Ani' and reports on a traditional Christmas Eve gathering in Leżajsk. The text describes the event, the participation of seniors, and the role of the local government and church. A QR code is provided for more information. The article is signed by 'dps już'.

Pączki, rogaliki, jabłuszka, etc., parówki i małe kalendarzyki z burmistrzem miasta

Beze mnie

W 2012 roku zorganizowałam wycieczkę promem do Sztokholmu, ale nie pojechałam na nią. Pierwszy raz tak się zdarzyło. Powiedziałam, że nie jadę, bo mnie nogi bolą. I tyle. Zauważyłam grymas na twarzach. Ale gdy wyjaśniłam, że za mnie pojedzie pan z biura turystycznego, co ma doświadczenie, bo on wozi młodzież szkolną i nauczycieli do Egiptu nawet, to seniorzy uspokoili się. Dodałam jeszcze: - Dziękuję, że mnie państwo zrozumieliście. - Tak, rozumiemy, rozumiemy. - Wpierw odwiedziłam to biuro turystyczne, zorientować się w cenie, bo pamiętałam, jak mi było ciężko finansowo organizować wcześniej Brukselę. Stwierdziłam, że ja sama taniej nie zrobię im wycieczki. Czas wysiadać.

Powiedziałam, że nie jadę, ale razem wyruszymy na jakieś dwie wycieczki jednodniowe. To się ucieszono na sali. Potem Basia Rychlewska, sekretarz w stowarzyszeniu KDUK, z którą między innymi - zaproszone jako stowarzyszenie - składamy kwiatki w miejscach pamięci przy okazji różnych uroczystości państwowych, odezwała się, że wszystko przebiegnie dobrze. Druga pani się odezwała, trzecia, że pomoże. Już uzbierały się cztery głosy, że będą Basi pomagać. Że ja się nie mam martwić, że dadzą sobie radę.

Punkt po punkcie omówiłam wszystko. Nie chciałam tym razem wyznaczać miejsc w autokarze, ale one nie: - Pani Aniu, my chcemy numerki. - Postanowiły powielić moje sposoby. - Ach, to jest nasza mama, ona się zawsze tak pięknie nami opiekuje - powiedziały temu panu z biura podróży. Takie zdania przyjemnie usłyszeć. Poszłam do autokaru, pożegnałam ich i OK.

Wycieczka udała się. Morze okazało się spokojne. A i przewodnik - super. Wrócili bardzo zadowoleni. Dobrze się bawili. Nie żałuję wcale, że spasowałam. Nie pojechałam, bo byłam w Sztokholmie sama, całą Skandynawię przejechałam,

zmęczyłam się, wchodząc na wieżę telewizyjną. Oni są młodszy, na podróż zdecydowały się może dwie panie w moim wieku. No, przecież wiedzą, że to ja im zorganizowałam...

Czy dostałam jakąś pamiątkę z tej wycieczki? Chyba nie. Zauważyłam, że na telewizorze w domu trzymam oryginalną świecę, подарowaną przez jedną z pań. Druga pani dorobiła mi do świecy purchawkę. Od śp. posłanki Izabeli Jarugi - Nowackiej mam maskotkę z masy: jakąś głowę, czerwone okrycie. Nie wiem, co to, ale ciężkie. Dalej stoi na telewizorze śpiewający miś od posłanki Jolanty Szczypińskiej. No i pluszowy lew z herbem Lęborka. Patrzę na to wszystko codziennie i miło mi.

Jak każda osoba w moim wieku martwię się, co będzie dalej z moim zdrowiem. Służba zdrowia w sanatoriach czy przychodniach niekoniecznie grzecznie odnosi się do starszych osób, o, nie raz miałam na tym tle scysje. Ale ja nie pozwalam na byle jakie traktowanie, potrafię przywołać lekarzy do porządku. Wypisuję z encyklopedii dane medyczne i pouczam... Belfrem będę do końca! Kiedy opowiadam o tym synowi przez telefon, uśmiecha się... Ale niech lekarze wiedzą, z kim mają do czynienia. A z kim, to tu przecież napisałam. Z kim zatem? Z panią Anią!

Gdy zabieram się za jakąś sprawę, to doprowadzam ją do końca. Takie było całe moje życie. Na nikogo nie liczyłam, sama torowałam sobie drogę. W zgodzie z sentencją poety Wiktora Teofila Gomulickiego, którą 19 listopada 1945 roku wpisała mi w moim młodzieńczym pamiętniczku moja wychowawczyni J. Cieszyńska (brak pełnego imienia): "Wybrany cel niech Ciebie wciąż /jutrzejszą nęci dobą - /Bez przerwy walcz i naprzód dąż - /i nie patrz co za Tobą!". Ta nauczycielka poszła potem do klasztoru, a ja jestem tam, gdzie jestem.

Matematyczka A. Zaborna wpisała swej uczennicy 15 lutego 1946 roku: "Człowiek stworzony jest dla innych, nie dla siebie".

Nauczyciel R. Malicki, historyk, wpisał się: "*Novos amicos dum paras, veteres cole*" ("Szukając nowych przyjaciółek, pilnuj dawnych"). A jego brat A. Malicki, geograf, 30 stycznia 1946 roku: "*Ora et labora*" ("Módl się i pracuj"). Uczylałam się łaciny, zwracam na to uwagę...

Nauczyciel języka polskiego K. Draniewicz 11 marca 1946 roku: "Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury, /Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury".

A najlepsza koleżanka Adela Górzyńska 9 kwietnia 1946 roku: "Bądź zawsze oszczędna /i pilnie się ucz /Bo wiesz że nauka /to potęgi klucz. Milutkiej Hani /Ku pamięci Czarniutkiej Stokrotce".

Zerknęłam na te prehistoryczne zapiski. Jeśli ja miałabym wpisać się komuś do sztambucha, pozostawiłabym przesłanie stare jak świat - które sprawdziło mi się i sprawdza przez lata - że zło zbiera ten, co zło sieje, a dobro wróci zawsze do tego, co dobro to daje.

Lębork, marzec 2013 roku

*

Anna Sobolewska w Wikipedii:

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Anna_Sobolewska_\(dzia%C5%82aczka_spo%C5%82eczna\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Anna_Sobolewska_(dzia%C5%82aczka_spo%C5%82eczna))